ETHOS

Uncaptive Minds

strych kulturalny

pismo literacko - artystyczne

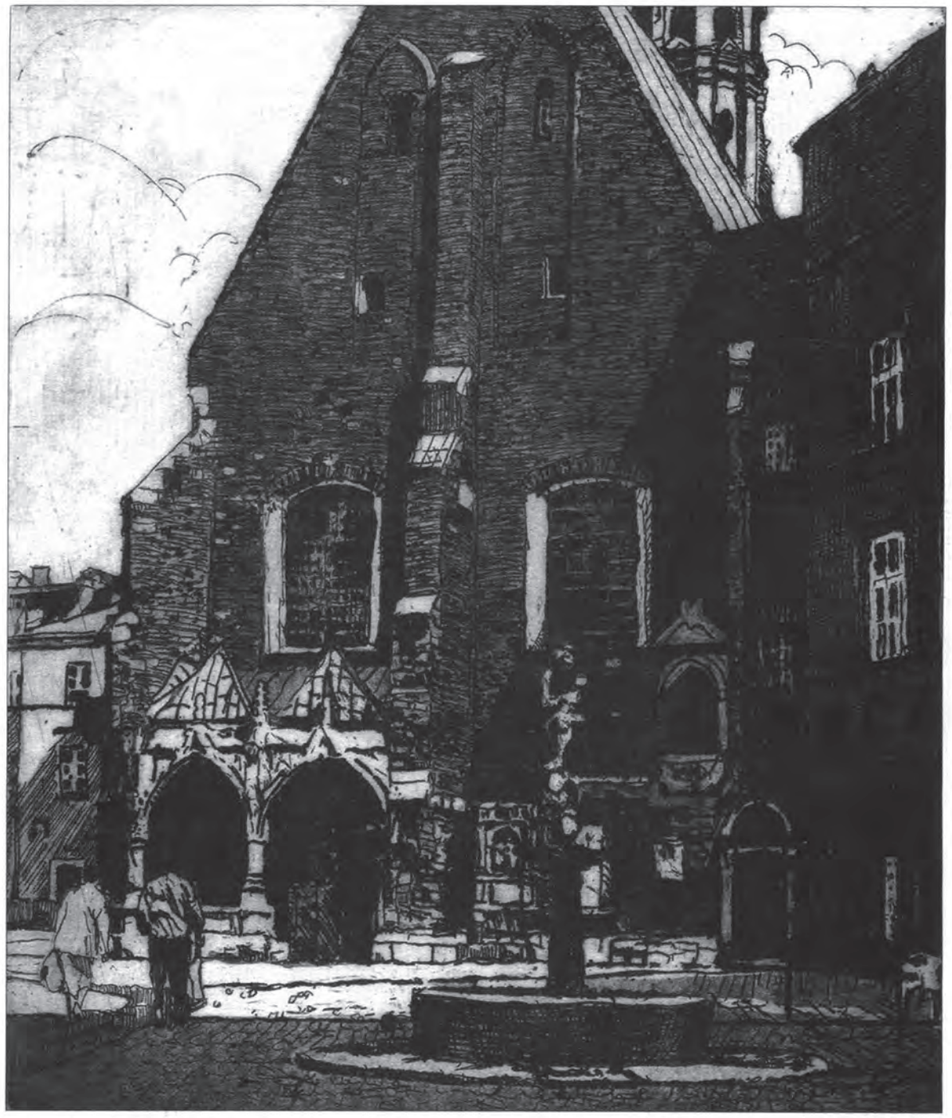

przemyśl, zeszyt piąty, wiosna 1996

strych kulturalny

pismo literacko - artystyczne

w zeszycie:

– **Apollo Korzeniowski w okolicach Przemyśla** 2
(Listy Apolla do Stefana Buszczyńskiego)
Zdzisław Najder
– **II Konkurs literacki dla Polaków na Ukrainie**
Pierścionek 6
Julia Górna
– **Głód** 9
Mikołaj Jakimczuk
– **Wiersze** 12
Ks. Jan Kalinka
– **Poeta kontra krytyk** 22
Ludmiła Mariańska, Iwona Smolka
– **Sztuka i polityka** 25
(Fragmenty dyskusji strychowej)
Krzysztof Karasek,
– **Myśli konserwatywne** 29
(Wprowadzenie)
Roger Scruton,
– **Polityka śmierci** 31
R.A.D. Grant,
– **Wiersze** 38
Andrzej Mazur
– **Reżyserowanie malarstwa** 52
Rozmowa z Leszkiem Mądzikiem
Janusz Czarski
– **Piotr Michałowski w Bolestraszycach** 55
Urszula Olbromska
– **Polityka ideokracji** 57
Rozmowa z prof. Jarosławem Piekałkiewiczem
– **Nie zezujmy w stronę Moskwy** 60
Marek Kuchciński
– **Zamiast kroniki** 68

– **Grafiki: Marek Mikrut,**
okładka: **Plac Mariacki,** 1995

przemyśl, zeszyt piąty, wiosna 1996

strych kulturalny

Redakcja: Marek Kuchciński, Jan Musiał
Opracowanie graficzne: Mariusz Kościuk
Wydawca: Przemyskie Towarzystwo Kulturalne
37-700, Przemyśl, ul. Wybrzeże Józefa Piłsudskiego 1, tel. 787-128
ISSN 1425-0233

Skład i łamanie: AR *ŻYCIE PRZEMYSKIE*
Druk: SanSet DRUKARNA Przemyśl, tel. 78-66-33

Zdzisław Najder

APOLLO KORZENIOWSKI W OKOLICACH PRZEMYŚLA

Apollo Korzeniowski (1823-1869), ojciec przyszłego Josepha Conrada, został – w pięć i pół roku po aresztowaniu w Warszawie – zwolniony z rosyjskiego zesłania w lutym 1868 roku. Był ciężko chory na gruźlicę; jego żona, Ewa z Bobrowskich, zmarła na tę samą chorobę przed blisko trzema laty. Sam opiekował się dziesięcioletnim wówczas synem. Po długich staraniach otrzymał paszport na wyjazd na kurację do Algerii – ale stan zdrowia wykluczał dalsze podróże. Obaj Korzeniowscy – Apollo i Konradek – zatrzymali się najpierw we Lwowie. W kwietniu i maju spędzili parę tygodni w Kruhelu Wielkim pod Przemyślem, w majątku przyjaciółki zmarłej Ewy Korzeniowskiej, Marii Mniszkowej. Potem wrócili na krótko do Lwowa – i znowu wyjechali na cztery miesiące na wieś, tym razem do Topolnicy w ówczesnym powiacie starosamborskim. Apollo próbował tam kurować się żętycą.

Wymęczony chorobą, nękany wyrzutami sumienia, że zostawił na zesłaniu innych współskazańców, rozgniewany na Galicjan, którzy jego zdaniem nie wykorzystywali odpowiednio posiadanych swobód politycznych – Apollo Korzeniowski starał się do ostatka włączyć w nurt galicyjskiego życia kulturalnego. Miał zostać członkiem redakcji nowo powstałego tygodnika „Kraj". Prowadził dość częstą korespondencję, przede wszystkim ze swoim najbliższym przyjacielem ideowym, znanym wówczas pisarzem politycznym i działaczem niepodległościowym Stefanem Buszczyńskim (1821-1892), przez władze rosyjskie skazanym zaocznie na śmierć za udział w powstaniu styczniowym.

Chociaż listy Apollona z tego okresu zawierają wiele informacji cennych nie tylko dla badaczy historii kultury polskiej, ale i dla biografów Josepha Conrada – nie zostały dotychczas w Polsce ogłoszone drukiem. Przygotowany przeze mnie tom, zawierający większość tych listów, miał się ukazać w roku 1982 nakładem Państwowego Instytutu Wydawniczego – ale kiedy zostałem dyrektorem Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa, z wydania zrezygnowano. Wersja angielska ukazała się w roku 1983 jako *Conrad Under Familial Eyes*. Nowe opracowanie polskie pod tytułem *Conrad wśród swoich* przygotowuje do druku tenże PIW.

O pobytach Josepha Conrada-Korzeniowskiego we Lwowie – krótszym w roku 1868, dłuższym w latach 1873-74, bezpośrednio przed jego wyjazdem do Francji – wiemy bardzo niewiele. O miesiącach spędzonych wraz z chorym ojcem w okolicy Przemyśla nie wiemy nic, poza informacjami zawartymi w listach Apollona Korzeniowskiego. Może ogłoszenie po raz pierwszy w Polsce, trzech poniższych listów skłoni czytających do przejrzenia strychów, a nuż gdzieś w czyichś papierach coś się jeszcze zachowało, mimo wojen i upływu lat?

Oryginały listów Apollona Korzeniowskiego do Stefana Buszczyńskiego znajdują się w Bibliotece PAN w Krakowie, sygn. 2604.

Do S. Buszczyńskiego

d. 17/5 marca (tj. nowego stylu) 1868
(Lwów) Węgieł Szeroki, Dom Pentera N. 804

Mój najukochańszy Stefanie.

Jaka to wielka niespodzianka i niezasłużona łaska Boga: możemy otwarcie do siebie pisać; możemy mieć nadzieję zobaczyć się kiedyś, mogę Ci prosto w serce rzucić moją rzewną wdzięczność i ukochanie dla Twej najlepszej córki[1], która sama – sierota opuszczona, wynalazła czas i siłę w sercu, aby staremu przyjacielowi przesłać w słowie swym promień ukojenia...

Tym czasem okoliczności składają się niefortunnie – co mi zresztą zwykłą jest rzeczą – że obecnie nie mogę pospieszyć do tego Krakowa, do którego później – wcześniej podążę. Poza obrębem tych okoliczności, jeszcze niedostatecznie przejrzałem Lwów, raczej Lwowian, aby zrobić sobie zupełnie jasne pojęcie o stanie obecnym i odpowiedzieć na dwa pytania samemu sobie: czy będę mógł się utrzymać z pracy we Lwowie i czy będę mógł ostatkami tchnień mych piersi, być tu w czymkolwiek pożytecznym ogółowi. Mówię przed Tobą otwarcie, ale tylko przed Tobą, że dotychczas Lwów wcale mię niezhołdował dla siebie. Naprzód uderzyła mię tu zawiść tutejsza ku Krakowowi, którego Lwów pragnąłby obedrzeć ze wszystkiego co obedrzeć zeń można. Kraków i Lwów wyglądają jak stary, zacny, świętobliwy, pełen zasług Ojciec i synaczek wychowany poza krańcami swej ziemi, Heglista, Kancista, Spinozista, Ekonomo-Polityk, rachunkowy ale związany publiczną opinią, udający szacunek dla Starego, byle on do gości nie wychodził i nie odzywał się, lecz w kącie Boga chwalił, gdyż wykształconemu synkowi wstyd czasem robi. Nie podoba mi się to. Gdybyż przynajmniej można było dojrzeć we Lwowie cechę jakiejś potężnej myśli, która by w jego sercu zrodzona tylko z niego – z tego gruntu, wykwitnąć i promienieć nazewnątrz dla ogólnego dobra mogła? Ale właśnie tego nie widzę. Widok, który uderza mię jest to widok nagle, z długiego snu ocknionego (fragment zniszczony). Gdyby nie to, że co chwila widzę ludzi, którzy w tym półsennym szamotaniu się trafem na kość jakąś trafili – i wnet najspokojniej zasiedli już by do końca żywota tę kość ogryzać, bacząc tylko na to, aby kto jej im nie odebrał: to też jeden na drugiego warczy. Warczenie sobkowe jest Lwowska jak Anglicy mawiają „keynote"[2]. Zapewne mógłbym, po zwalczeniu trudności i zapewniwszy, że niewiele mam apetytu, także położyć się przy kimeś, koło jakiejś kości – ale to rzecz nie moja. I to mię utwierdza w przekonaniu, że ani pożytku ogólnie ze mnie tu być nie może, ani też ja znajdę środki do utrzymania: jakkolwiek temu, co kilka lat zaprowadzenia Moskiewskiego przeżył bardzo – bardzo – bardzo niewiele materialnie potrzeba. Zresztą drugim celem, jeśli nie pierwszym, jest wychowanie Konradka nie na żadnego demokratę, arystokratę, demagoga, republikanina, monarchistę – albo na jakiegoś sługę czy lokaja tych partii, a tylko na Polaka[3] a wątpię, aby przy obecnie we Lwowie urządzającym się publicznym wychowaniu do tego dążono. Długo by o tym pisać – ale prawdziwie jest o czym. Bardzo być może, że się kiedyś przeniosę do Krakowa: jeżeli mam znosić trud ciężki żywota, to juźci lepiej przy Świętym Grobowcu, który dla mego dziecka kolebką być może – kolebką koronną, świętą! To zdecydują parę następnych miesięcy. Trzymam się we Lwowie dlatego tylko, że opatrznościowo to miasto, w którym dziś, bądź co bądź, polskości ***nie ma****, ale może mieć swój wyraz, wybrane. Bliskie naszych prowincji[4] na nie promienieć by mogło – a w danej chwili nawet austiemu rządowi pokazać, że tam jest siła i moc jego jako prawdziwego* ***Oestreich***[5]*. Ale czy pojmiesz – na dwudziestu publicznych zgromadzeniach tu (raz tylko) słyszałem wymówione imię* ***Polaka*** *(p. Bielowskiego)[6]. (fragment zniszczony) O sobie Ci powiem, że moje zdrowie jest termometrem ducha tu polskiego – podnosi się w siłę na odblysk lada jaki tego słońca naszego; opada – marznie – kona w razie zaćmień tak tu częstych. Kiedyś raptem przyjdzie ostatnie opadnięcie.*

Miałem trochę wiadomości o tobie od Pawlikowskiego Mieczysława[7]. Słyszałem, że napisałeś niezmiernie mi z treści po sercu książkę o ile mi umiano powiedzieć; zdaje się tytuł „De la décadence de l'Europe"[8], czy to tak? Ale gdybym miał wszystko pod ręką coś napisał – to jeszcze to wszystko oddałbym za jeden uścisk Twej dłoni, za jedno spojrzenie Ci w oczy.

Ściskam Cię serdecznie. Napisz mi co o Krakowie. Malec mój ze mną. Ta już dwuletnia choroba jeszcze mu nie minęła;[9] ale i za obecne polepszenie dziękuję Bogu. Zacząłem go uczyć po niemiecku, aby tutejszych szkół mógł zażyć. Pragnąłbym, aby Twa poczciwa ręka na jego spoczęła główce. Jeszcze Cię po przyjacielsku, bratnio do serca cisnę – Twej Ofelki rączki całuję. Już byłem tu, gdy ona przejeżdżała przez Lwów. Tak mi niedawno stary Krechowiecki[10] powiedział – ale znów mi oświadczają, że stary kłamie wierutnie nieraz. Dowidzenia Jedyni – Najukochańsi moi. To serce dziś bije, bić będzie i przy ostatnim uderzeniu jako Wasze wierne i niezmienne.

Wasz Apollo

[1] Ofelia Buszczyńska, córka adresata; po dłuższych staraniach uzyskała paszport i mogła wyjechać z Rosji do ojca, przebywającego na emigracji w Dreźnie, skąd niebawem przeniósł się do Krakowa.

[2] Znak szczególny.

[3] Podobnie wypowiadali się Julian Ursyn Niemcewicz: „Nie bądźmy ani arystokratami, ani demokratami, bądźmy wszyscy Polakami." („Polak sumienny" 1831, nr 16) i Zygmunt Krasiński:

„A nieboszczyka, owszem, chwalę za to,
Że komunistą ni arystokratą,
Ni panslawistą, ani demokratą,
Ni jakimkolwiek bądź innym przezwiskiem,
Co z klęsk ojczyzny tylko pośmiewiskiem,
Nie zwał się nigdy... Jeśli jakim znakiem
Znaczyć go chcecie – zwijcież go Polakiem". (Dzień dzisiejszy, 1849, w. 461-467).

[4] Tj. dawnych polskich prowincji południowo-wschodnich, teraz oddzielonych granicą rosyjską.

[5] Gra słów: niemiecka nazwa Austrii brzmi Österreich; östlich znaczy po niemiecku „wschodni", Reich – „państwo".

[6] August Bielowski (1806-1876), historyk, wydawca *Monumenta Poloniae historica* (*Pomniki dziejowe Polski*).

[7] (1834-1903), działacz polityczny i kulturalny, współpracował z Rządem Narodowym, więziony w Austrii w latach 1864-65, współredaktor „Kraju".

[8] *La Décadence de l'Europe* (Paris 1867), najbardziej znana książka Buszczyńskiego, chwalona przez Victora Hugo i Julesa Michelet. Autor wykazywał, na obfitym materiale statystycznym, że demokratyczne Stany Zjednoczone prześcignął Europę zarówno pod względem gospodarczym jak i politycznym.

[9] Z wcześniejszych listów Apollona wiemy, że Konrad chorował na nerki; natomiast wuj Tadeusz Bobrowski, brat matki Konrada, wspominał w liście do niego o atakach epileptycznych.

[10] Jan Krechowiecki (1805-1885), ziemianin z Wołynia, 1839-43 zesłaniec na Syberii, po 1863 emigrant w Galicji, historyk.

Do S. Buszczyńskiego

26 kwietnia 1868
(Lwów)

Mój drogi Stefanie.

Ile razy mocno jestem cierpiący, tylekroć otaczam się wizerunkami drogich mi osób, listy ich przezieram i tak głuszę cierpienia zwierzęcia. Tak to przed dwoma godzinami twój ostatni list znalazł się w mym ręku. Owóż obecnie, gdy mam ulgę, spostrzegam się, że nie odpowiedziałem ci na parę pytań: a wiem znów, że czasami nam na najdrobniejszych rzeczach wielce zależeć może. Adres pod którym pisałeś dobry; ale stałe mieszkanie przestałem mieć od 1 n.m. Wyraźnie tutejszy lekarz rad by się mię pozbyć i nagli mię do wyjazdu na wieś. Pojadę więc ostatniego dnia b.m. do Przemyśla koleją żelazną, a stamtąd jest to parę kroków ów ***Kruhel Wielki****, mieszkanie pp. Mniszków. Tam – później – adresowane listy albo mię zastaną, albo wnet do miejsca mego pobytu będą wyprawione.*

Po powrocie do Lwowa nie zastałem X.A.S.[1]*; wielce to mi nie na rękę – zostawiam mu mój adres, a już wie, że jeżeli interes będzie miał cel wyższy, a jedyny – to może mię zawezwać dokąd zechce i chyba bym nie mógł ruszyć się, żebym się nie stawił.*

Pamiętasz mię mój Stefciu, że niby to poeta ale umiałem czasami być praktyczny. Teraz mam nawet pewny magier[2] *do mierzenia każdej proponowanej mi sprawy. Jak tylko jedynego celu, wyraźnego nie widzę w niej na pierwszym planie i w jawie – to interes biorę już tylko ze strony finansowej i oglądam się tak, jak żaden Julat (?) ani Mańkow*[3]*, nie oglądali się nigdy. Owóż po powrocie moim do Lwowa raptem spotyka mię propozycja, abym chciał należeć do Towarzystwa Ocalenia Dziennika Literackiego*[4]*, który tonie a pojutrze ostatni jego N na fali czasu unosić się będzie. Naturalnie, że jedni mieli pewne dawać kwoty, drudzy talenta, a ja zaś (nowoprzybyły do miasteczka z głuszy) talent i wielce poważne nazwisko moje. Wiem, że Dziennik Literacki jest rzadkie pismo galicyjskie niepoplamione, więc nic przeciw nie mając, odłożyłem odpowiedź na dni parę tylko, a dowiedziawszy się o nazwiskach członków tego Towarzystwa* ***de Sauvetage***[5]*, z każdym z osobna rozmówiwszy się, przekonałem się, że liczono w duchu na moje fundusze (zapewne uzbierane na wygnaniu) nie na nazwisko i talent. Naturalnie, że funduszów nie mam, ale gdybym je posiadał nie uważałbym wcale za zadanie mego życia wspierać nimi czysto i wyłącznie literackie przedsiębiorstwo, co też bardzo kategorycznie oświadczyłem. Rzecz się zatem rozchwiała – choć z drugiej strony dziś dwóch kapitalistów (naturalnie au petit pied)*[6] *według stawu grobla oświadczyło się dać pierwsze fundusze na prowadzenie tego Dziennika, który ma pewne zachowanie, jako założony przez ś.p. K. Szajnochę*[7]*, byle bym te fundusze wziął w moje ręce (nawet bez zdawania rachunków – i to mię trwoży) i pod moim imieniem, i moją jedyną wolą ten Dziennik prowadził. Tak łacna ofiara wzbudza moje podejrzenie; nie znam ludzi; muszę dobrze pierw o nich się wywiedzić i o ich stosunkach. Bo wierz mi, tak tu zhydzone dziennikarstwo (nie wyłączając Czasu*[8]*) w tutejszej opinii, że za żadną cenę nie dotknąłbym mą ręką do któregokolwiek z tutejszych pism politycznych. Posądzenie o stosunek z którymkolwiek Dziennika Literackiego było by nie tego pisma, ale moim zabójstwem, gdybym tego posądzenia nie mógł namacalnie odeprzeć. A właśnie mi się zdaje, że szanowni Preopinenci*[9] *należą do któregoś z tutejszych prądów politycznych – które wszystkie idą o lepsze z rzeką Pełtwią, która tak cuchnie, że mię o mdłości przyprawia. Widzisz więc jak to rzeczy idą. Gdyby rzecz z X.S.A. dała jakie rezultaty, to sądzę, że po nowej, czystej drodze moglibyśmy pójść ręka w rękę z tobą, mój najlepszy. Gdyby nawet zresztą i Dziennik Literacki dostał się w me ręce, to także miałbym gdzie twe prace zmieścić i czym ją wynagrodzić – tylko to już na mniejszą byłoby skalę, ani też nam obu materialnie stałego, o ile rzeczy ziemskie stałe być mogą, zapewniło.*

Co to już nabazgrałem – a daleko sercu i sumieniu pożyteczniej by było, gdybym cię tylko po prostu braterskо uścisnął i na twą Ofelkę błogosławiącym spojrzeniem spojrzał. W ostatnim N 17 (z d. 28 kwietnia) Dziennika Literackiego dałem dwa wiersze. Jeden do albumu dla Ofelki – tylko jej imienia pod prasę drukarską nie położyłem; ale niech wie, żem napisał ten wiersz dla niej, z myślą o niej.

Źle mój Stefanie ze zdrowiem. Nie znalazłem lekarza, któryby mi zechciał prawdę powiedzieć tak potrzebną w mym położeniu ojca. Rają mi pewną ulgę i pozdrowienie z wód mineralnych, które pić zacząłem i z żętycy – ale czy to tak będzie. Chciałbym. Dowidzenia. Pomnijcie o mnie.

Wasz zawsze wierny

Apollo

A propos mój Stefanie czy było dwa prądy ducha kiedykolwiek? Pomyśl o tym.

[1] Książę Adam Sapieha (1828-1903), zwany „Czerwonym Księciem", polityk liberalno-demokratyczny, dążący do autonomii Galicji jako etapu na drodze do wskrzeszenia państwa polskiego. Miał finansować wydawanie „Kraju". Patrz Stefan Kieniewicz, *Adam Sapieha*, Lwów 1939.

[2] Miarka, zwłaszcza do odmierzania płynów; od nazwiska Antoniego Magiera (1762-1837), warszawskiego fizyka i meteorologa.

[3] Zapewne jeden z braci Mańkowskich: Teodor (1816-1855), założyciel domów handlowych w Odessie i Londynie, albo Wacław (1820-1905), jeden z twórców przemysłu cukrowniczego na Podolu.

[4] „Dziennik Literacki" – lwowski tygodnik, założony w r. 1852 przez Jana Dobrzańskiego, redagowany przez znanego historyka kultury polskiej Władysława Łozińskiego (1843-1913) a wspierany przez Mieczysława Pawlikowskiego.

[5] Ocalenia (fr.)

[6] Na małą skalę (fr.)

7 Karol Szajnocha (1818-1868), wybitny historyk Polski.

[8] „Czas", konserwatywny dziennik krakowski, ukazujący się od r. 1848.

[9] Poprzedni rozmówcy.

Do S. Buszczyńskiego

13 VI 1868
(Lwów)

Drodzy moi i najlepsi Stefanie i Ofelko.

Do obojga was piszę, bo obojgu wielkie dzięki uradowanego mego serca i sumienia powiadam: serce cieszy się portretem Córki, sumienie – myślą Ojca, myślą całego życia. Niech wam Bóg błogosławi i nagrodzi; więcej rad jestem, niż byłbym nim, gdyby mi kto „sto rubli darował" jak powiadał Aleksander[1] *poczciwy w lepszych i weselszych czasach. Jutro wywożą mię na żętycę, do Topolnicy – gdzie to? – nie wiem, coś koło Nowego czy Starego Miasta o 10 mil z Przemyśla. Zamartwiłbym się – gdyby nie wieść o prolongacie paszportu Ofelczynego, bo sześć tygodni upłynie a ja z żętycy wprost do Krakowa przyjadę wynaleźć siedlisko w jakiej chatynce. Dziś – szczerze wam mówię – że nie możebne mi było odbyć podróż do Krakowa, ale się przyznaję, żem i rad temu, bo nie tylko przechadzek waszych podzielić z wami, ale nawet rozmowy nie mógłbym, taki był stan mego zdrowia. Z powróconej mi po Obersaltzbrun*[2] *trochę rzeźwości lekarz Lwowski korzysta i prawdziwie pod przymusem mię wywozi. Oto położenie mej figury. Naturalnie Konradek ze mną jedzie.*

Tymczasem zabieram z sobą twą książkę – czy ona mię czy ja ją chłonę – nie wiem, ale ten proces odbywa się prawie widomie przed mą duszą – owa décadence de l'Europe jest takim odrodzeniem, że miał rację ów dziennik powiedzieć, że książka pisana na dalekie może, ale konieczne jutro. Można dać tytuł jej: Księga Przyszłości. Nie dlatego, żeby miała proroczyć bezwiednie, spieniona i w konwulsjach jak starożytne kapłanki Diany – ale że dla człowieka wierzącego, że go Bóg – najwyższe dobro piękno i prawda – stworzył na obraz i podobieństwo swoje, jest ona logiką – następstwem nieuniknionym, chyba by Bóg zrzekł się opatrzności swej nad światem.

Im więcej czytam, dłużej myślę, tym mocniej stoję z tobą i przy tobie. A że to czynię nie bezwiednie, to za widzeniem się przekonam cię, robiąc jedyny zarzut jedynego błędu, jaki dotychczas w tej książce spotkałem. Dzieło tak bezprzykładnej szczerości i sumienności, i śmiałości w nielicznych ustępach, mianowicie co do katolicyzmu, zdaje mi się nie płynęło ze ślicznego, hiobowo zasmuconego, ale przytomnego ezechielowsko twego ducha, a było tylko mimowolnym poddaniem się niczym nie ugiętego sumienia pod przemocne parcie dzisiejszego, krytyczno-liberalnego, ale czasem olśnionego prądu.

Jednak mój drogi sam czuję, że za śmiało utrzymuję zdanie, które może się zmienić przy dalszym czytaniu i lepszym pojęciu twej myśli ... Spojrzałem na twój portret Ofelko w tej chwili i widzę z radością, że masz to samo spojrzenie badająco zdziwione, które mię uderzyło, gdy cię szesnastoletnią pierwszy raz ujrzałem... Co wspomnień lat kilkunastu natłoczyło się do duszy. Ale moja biedna dusza jak zwierciadło w wilgotnym lochu omglone: patrzę w nią i wszystko mi za tumanowym całunem, takie jakieś wiotkie, rozpławiające się, tak bez zarysów, że nic w uścisk myśli i w utulenie przy piersiach ująć nie mogę.

Mój kochany Stefanie. Ja prawię o twym dziele monumentalnym z zajęciem, jakiego po sobie spodziewać się nie mogłem: zapewne przyczyna temu i ta, że to twoje, że to ty w żałobnej oprawie, ty sam – dawny, ale po przejściu przez czyściec. I to mi miło, że gdybym nie wiedział, to zgadłbym zaraz, że dzieło to Polak pisał: na całej kuli ziemskiej jeden tylko Polak – bez domu – bez rodziny – bez ojczyzny – tułacz wieczysty, ciągły, kajdaniarz może się zdobyć na tyle miłości. Bo tu nic z francuszczyzny, polskość by mi biła w oczy; sądzić o tym nie potrafiłbym primo; a o ile znam język francuski, jakkolwiek lubię Francuzów, tak mi nieraz myśl twoja dziwnie wygląda w tym językowym stroju, jak bym zobaczył z grobu powstałego senatora naszego, który by pro publico bono bez uniesień, tych błyskawic virtutis, w czarnym fraku na mównicy całej ludzkości prawił najprzystępniejszym sposobem – słowem kładł w głowę jak łopatą – rzeczy które jeszcze Adamowi Bóg w duszę włożył, a które jeśli się nie mylę ty pierwszy sztuce Gutenberga powierzyłeś – prawdziwie.

Ale Mój Najlepszy, ja jestem Zakonnikiem i to jeszcze Zakonnikiem ***fratrem*** *prostym w Zakonie Polskim. Zamknąłem myśl moją w ciasną celę patriotyzmu; to tylko mię porusza, co bezpośrednio mię i moich prowadzi do upragnionego celu. Jakiejże wartości jest twa myśl humanitarna, a przynajmniej Europejska, gdy mię prostaczka z przekonania, prostaczka przysięgłego do tego stopnia zająć i poruszyć mogła? Wierz, że znając mię dzisiaj, wiedziałbyś jaką wielką pochwałę dziełu twemu składam.*

Może już będzie (brak wyrazu) was tej gawędy; a i moje piersi pękają. Kąpcie się w tym wspomnieniowym krakowskim powietrzu, kochajcie mię, pomnijcie o mnie i o moim sierotce, który ręce wasze całuje i czekajcie ode mnie listu z miejsca, gdzie 14 t.m. nuż będę.

Wasz na zawsze Apollo

Prawda, że Galicjanie lambiny[3] *– ze zgrozą widzę, jak ich ogólnie publiczne nasze, nieprowincjonalne rzeczy mało zajmują. Wszystkie te nawet ich nieliczne oznaki niby wspólności – to zawsze przez którego z nas – kajdaniarza – wywołane – wybłagane, wyciśnięte.*

Pester Lloyd[4] *– czy jak tak, pierwszy pisze o rzeczy, o której nam dzienniki wrzeszczeć by powinny: pomnik ruchu ostatniego polskiego; Europa zajęta; my tylko jak bałwany tu bawimy się i radujemy, że fałszem są grubiańskie telegramy. Gwałtem potrzeba dziennika – nie ma, nie wiem czy będzie. Widziałem Xsiężnę A.S., mówiłem żem do męża trzy razy pisał w ważnych rzeczach – ale go te listy złapią?*

[1] Zapewne Aleksander Dubiecki (1824-1868), dziennikarz, uczestnik powstania styczniowego 1863 r.

[2] Woda z Bad Salzbrunn, dzisiejszego Szczawna Zdroju.

[3] Z francuskiego „lambin" – ciemięga, tępak.

[4] Właśc. „Pester Lloyd", budapeszteński dziennik polityczny, wydawany w języku niemieckim: ze względu na jego niedostępność w Polsce nie potrafię wyjaśnić aluzji.

Julianna Górna („Zapomniana")

PIERŚCIONEK

Dorota ukończyła przed wojną gimnazjum. Miała bardzo żywe usposobienie, wysportowaną sylwetkę, blond włosy i niebieskie oczy. Podczas wojny zginął ojciec, została sama z matką. Zaczęła studiować na Politechnice Lwowskiej budownictwo cywilne i przemysłowe, pragnęła zostać inżynierem i odbudowywać miasto po wojennych zniszczeniach. Zawsze miała zdolności do nauk ścisłych. Była energiczna, przedsiębiorcza, pełna życia i inicjatywy. Po wojnie, gdy kończyła studia, rozpoczął się stalinowski terror. Wystarczył byle donos, by człowiek znalazł się daleko od rodzinnego miasta, w łagrach lub na zesłaniu. Dorotę zgubiła legitymacja „Sokoła". Gdy robiono w domu rewizję – po powrocie dowiedziała się, że był to donos, aby zająć ładne mieszkanie – znaleziono tę legitymację i nie pomogły wyjaśnienia, że była to organizacja sportowa, że nie miała nic wspólnego z polityką. Została uwięziona na Łąckiego. Równocześnie wywieziono matkę.

I właśnie w więzieniu przy ulicy Łąckiego zaczyna się ta romantyczna historia. Nocą uwięzieni wystukiwali przez ściany i na rurach wodociągowych alfabetem Morse'a wszystkie wiadomości – kto nowy przybył, kogo rozstrzelano, kogo wywieziono. W taki sposób znano nazwiska ludzi przebywających w więzieniu. Nie zawsze się to udawało ale jakoś funkcjonowało.

Pewnego dnia, oczekując w celi wezwania na przesłuchanie, Dorota zauważyła, że jedna z uwięzionych podaje jej skrawek papieru. Okazało się, że ktoś wsunął ten skrawek pod drzwiami do celi. Na skrawku były napisane mniej więcej takie słowa: „Droga Pani Doroto, proszę się nie bać, jestem myślami z Panią i postaram się być z nią w kontakcie, w miarę możliwości. Pani mnie nie zna, ale ja znam Panią ze studiów. Bardzo mi się Pani podobała, ale była Pani zawsze otoczoną gronem koleżanek, więc nie ośmieliłem się zbliżyć. Teraz los daje mi szansę poznania Pani. Kocham Panią i pragnę Jej pomagać i bronić. Czy zechce mi Pani uwierzyć i podzielić me uczucia? Robert."

Dorota osłupiała. Dotychczas nie zwracała uwagi na kolegów pod tym aspektem. Zbyt była zajęta studiami i sportem i nie miała czasu na flirty. Aresztowano ją tuż po otrzymaniu dyplomu.

Nie wiedziała co odpisać. Ale zastanawiając się nad sytuacją pomyślała, że byłoby okrucieństwem pozbawiać nadziei człowieka, który jutro może być rozstrzelany lub wywieziony gdzieś w głąb Rosji. Więc napisała, że chociaż go nie zna, ale wspólny los łączy ludzi, zwłaszcza w nieszczęściu. Cieszy się, że ktoś o niej myśli, że będzie się za niego modliła. Jej „list" jakimś cudem dotarł do Roberta, ponieważ po trzech dniach otrzymała – znów przez dolną szparę w drzwiach – maciupeńkie zawiniątko. Gdy rozwinęła papier zobaczyła tam popielaty guzik od męskiej marynarki. Robert pisał, że jest to pierścionek zaręczynowy, że od tej chwili powinna uważać się za jego narzeczoną i zachować „pierścionek" do czasu, aż Bóg pozwoli im spotkać się. Dorota przyszyła guzik do staniczka i napisała do Roberta czuły liścik – pierwszy miłosny list w swoim życiu. Obiecywała czekać na niego, gdziekolwiek losy ich rzucą, a także zawsze nosić przy sobie „pierścionek".

Więcej listów, czyli skrawków papieru Dorota nie otrzymała. Po kilku dniach dowiedziała się, że wysłano dużą grupę mężczyzn, ale nikt nie wiedział dokąd. Po miesiącu i ona została wysłana. Na razie w kierunku Moskwy.

W tej samej celi była uwięziona piękna dziewczyna – błękitnooka, ciemnowłosa, różowolica Ukrainka Oksana. Nie wiedziała za co i dlaczego ją aresztowano. Była skromna, nieśmiała, bardzo się bała i przylgnęła jakoś do Doroty, która swą energiczną postawą zyskała jej zaufanie. Los chciał, że znalazła się w tym samym wagonie podczas drogi na wschód. Dorota opiekowała się młodszą koleżanką w nieszczęściu, razem spały, razem grzały się pod lichym nakryciem. Oksana była tak piękną, że wszyscy zwracali na nią uwagę. Nawet głód i bieda nie zniszczyły jej urody. Konwojenci patrzyli na nią pożądliwie, ale widocznie obawiali się, że ktoś z zazdrosnych kolegów może donieść, więc zostawiali ją w spokoju.

W Moskwie dowiedziały się, że pojadą dalej, aż na Daleki Wschód – do Magadanu. Stamtąd rękę podać do Kamczatki. Dla nich był to koniec świata. O ile przedtem wszyscy więźniowie byli „polityczni", obecnie podróżowano w wagonach razem z tzw. „błatnymi", czyli kryminalistami. Na szczęście kobiety osobno. Ale szczęście to nie było całkowite, bowiem pośród mętów społecznych znajdowały się również kobiety zdeprawowane i biedna Oksana stała się przedmiotem ich pożądania. Ukrywała się jak mogła, bała się na postojach sama iść do ubikacji. I pewnego razu Dorota nie dopilnowała towarzyszki niedoli – znaleziono Oksanę w ubikacji uduszoną. Widocznie nie chciała zgodzić się na wstrętne stosunki i pozbawiono ją życia. Dla tych kobiet był to drobiazg.

Dalej więc jechała przygnębiona Dorota sama. Przywiązała się do cichej i potulnej Oksany, słuchała jej zwierzeń, podtrzymywała na duchu. Nie zdążyła dowiedzieć się, gdzie mieszka rodzina Oksany, do kogo mogłaby obecnie napisać o jej tragicznej śmierci.

Po długiej i uciążliwej drodze pociąg przybył do Magadanu. Miasta, gdzie ziemia nawet latem całkowicie nie odmarza. Tylko górne warstwy odmarzają częściowo. A lato trwa tak krótko. Zimą chodzi się wyżłobionymi w śniegu korytarzami. I tak bardzo się marznie.

W magadańskim więzieniu znajdowali się przeważnie więźniowie polityczni. Można więc było odetchnąć po kontaktach z wyrzutkami społeczeństwa. Energiczna natura Doroty nie pozwoliła jej siedzieć ze złożonymi rękoma i rozpaczać. Zaczęła szukać jakiegoś zajęcia. Zauważyła, że wartownik, „stary syberyjski niedźwiedź", jak go nazywano, nie jest tak zły, jak się wydaje. Gdy nikt na niego nie patrzył – z litością spoglądał zwłaszcza na młodych więźniów. Dorota śmiało zaproponowała swą pomoc w czymkolwiek. Nie mogła siedzieć bezczynnie. Nie wiadomo, czy była to interwencja „niedźwiedzia", czy zwykły zbieg okoliczności, ale wezwano ją do naczelnika, który zapytał, czym zajmowała się w swoim mieście. Gdy dowiedział się, że jest świeżo upieczonym inżynierem powiedział, że pomyśli o tym, gdzie ją zatrudnić. Po tygodniu znów ją wezwano i powiedziano, że będzie pracowała w „Dalstrojprojekcie" (dalekowschodni „Miastoprojekt"). Dorota z trudem opanowała radość. Będzie wychodziła do miasta, może uda się jej napisać list do rodziny.

Rano jeden z konwojentów odprowadzał ją do biura, a wieczorem z powrotem do więzienia. W biurze spoglądano na nią z rezerwą, przecież była „polityczną", obawiano się bliższych kontaktów. Ale gdy po pewnym czasie zauważono, że pracuje pilnie, nie wtrąca się do rozmów, nie narzuca się, przestano patrzeć na nią wrogo. Po paru miesiącach zaprzyjaźniła się z młodszymi pracownikami. Dorota była zdolna, obowiązkowa, pracowała szybko i wkrótce w jej rysunkach trafiało się coraz mniej błędów. Nabierała praktyki. Chętnie wyręczała innych. Gdy terminy przynaglały, również chętnie pozostawała po godzinach pracy. Wolała pracować w biurze do późna niż wracać do celi. Zaprzyjaźniła się dość blisko z jedną z pracownic o trzy lata starszą od siebie. Pozyskała jej zaufanie do tego stopnia, że tamta sama zaproponowała, żeby Dorota napisała list do rodziny, a odpowiedź mogłaby przyjść pod jej adresem. Ryzykowała wiele, ale widocznie pragnęła pomóc Dorocie. Dorotę nazywano „gordaja polaczka", ale polubiono ją za otwartość, pracowitość. A Dorota gotowa była nie wiadomo co zrobić dla Oli, była tak szczęśliwą, że nareszcie będzie miała możliwość kontaktu z bliskimi. Po dłuższym czasie otrzymała od cioci list, że mama jest w łagrze koło Nowosybirska, że martwi ją brak wiadomości o Dorocie. Pytała, czy może przysłać dla niej paczkę. Dorota opisała swą pracę, stosunki w biurze, propozycję Oli i poprosiła o coś miłego dla tej uczynnej pani. Gdy nadeszła paczka z prowiantem, w cukrze znalazło się malutkie zawiniątko – był to przedwojenny złoty wisiorek z perełką na cieniutkim złotym łańcuszku. Ciocia oddała drogą jej pamiątkę, nie sprzedaną nawet podczas wojny, dla uczynnej Rosjanki, dzięki której matka dowiedziała się, że jej córka żyje i nawet nie najgorzej jej się powodzi. Ola była zachwycona prezentem, nigdy nie widziała takiej biżuterii, ale wszystko pozostawało w tajemnicy, a wisiorek schowany głęboko w szafie.

Po śmierci Stalina Dorota została zwolniona jako jedna z pierwszych. Pieniądze na drogę miała – zarobiła je uczciwie w biurze. Żegnano się z nią z żalem, bo jakoś nie uwierzono, że była przestępcą.

Gdy wróciła do Lwowa zastała już matkę w nowym, niedawno wynajętym mieszkaniu. Dawne mieszkanie dawno już było zajęte. Rodzina pomogła umeblować dwa pokoiki, ofiarowując część swych mebli, część dokupując. Matka była wymęczona i blada, ale szczęśliwa, że znów są razem, u siebie.

Dorota dostała pracę w biurze projektów, mając już kilka lat stażu została starszym inżynierem. Zaczęło się normalne powojenne życie, chociaż w innym ustroju, ale jednak wolne życie. Pozostały smutne wspomnienia.

Przez cały okres pobytu w Magadanie Dorota rzadko wspominała o Robercie. Nie wiedziała, gdzie jest, czy w ogóle żyje. Nie wiedziała nawet jak wygląda. Wspominała o nim tylko wtedy, gdy do rąk brała pudełko, w którym przechowywała listy i na dnie którego zawinięty w bibułkę leżał popielaty guzik – jej zaręczynowy pierścionek. Po powrocie nie miała nawet kogo zapytać o Roberta, ponieważ nie znała jego nazwiska. Wkrótce zapomniała o tych romantycznych zaręczynach w więzieniu, zdawało się jej, że był to jakiś nierealny sen.

Dorota przekroczyła trzydziestkę. Była ładna, zgrabna, elegancka – mama bardzo ładnie szyła. Ale jej rówieśnicy, którzy nie byli wywiezieni, dawno już założyli rodziny. Dorotę los pozbawił uczuć, które tak upiększają kobietę, ponieważ okres ten spędziła w więzieniu. Pełna była niewykorzystnej czułości.

Na imieninach jednej z koleżanek poznała Tadzika. Był starszy od niej o dwa lata, ale jeszcze nie założył rodziny. Pewne sprawy rodzinne przeszkodziły mu w studiach, więc dopiero teraz, pracując w wielkim przedsiębiorstwie, zaczął zaoczne studia na Politechnice. Był nawet dość przystojny, nieprzyjemne wrażenie robiły wiecznie rozbiegane oczy. Rozmawiając z kimś, rzadko patrzył na partnera, oczy jego przeskakiwały z przedmiotu na przedmiot, co nie wzbudzało sympatii.

Ale Dorota tego nie widziała. Zakochała się po raz pierwszy w życiu. Teraz istniał dla niej tylko Tadziulek. Z całym zapałem zaczęła mu pomagać w studiach, wykonywała dla niego wszystkie prace kreślarskie, wszystkie rysunki techniczne, a że studiował na wydziale mechanicznym, robiła wszystkie obliczenia. I Tadziulek dość łatwo zaliczał każdy rok, bo zdawał tyl-

ko egzaminy ustne, dość słabo, ale zdawał, a pozostałą pracę wykonywała Dorota. Tadeusz był stałym bywalcem w jej domu, zawsze przychodził na niedzielne obiady. Był jakby oficjalnym narzeczonym, choć tego nie ogłaszano. Razem z matką chodzili do teatru, na koncerty. Matce Tadeusz nie bardzo się podobał; z jego strony nie było widać gorących uczuć do Doroty. Matka zwracała jej delikatnie uwagę, że jak na narzeczonego Tadzik jest zbyt chłodny. Lecz Dorota niczego nie chciała słyszeć, jej Tadziulek był najlepszy, najmilszy, najprzystojniejszy. Obiecywał jej, że po ukończeniu studiów pobiorą się. Została jego kochanką, skrywając ten fakt przed matką. Gdy matka szła w odwiedziny do siostry lub znajomych Tadzik przychodził do Doroty, a gdy wracała udawał, że tylko co przyszedł.

Gdy Tadeusz dostał dyplom do ręki, zaczął rzadziej przychodzić do przytulnego mieszkanka Doroty. Przestał zapraszać ją i mamę na koncerty, co zaniepokoiło Dorotę. Wreszcie jedna ze znajomych powiedziała jej, że Tadzik spotyka się z inną. Dla Doroty był to ogromny cios. Załamała się, zaczęła palić, wciąż nie mogąc uwierzyć, że to koniec jej miłości. Dowiedziała się kim jest jej rywalka i zdecydowała się na rozmowę z tą panią. Ale nic nie uzyskała, ponieważ tamta osoba, również nie pierwszej młodości, powiedziała, że go kocha i do niego należy wybór. Matka Doroty również silnie przeżyła to zerwanie – ze względu na córkę. Bolało ją to, że Dorota poniża się, błagając Tadzika, by jej nie porzucał.

Stało się. Tadzik ożenił się z tą drugą. Miała własny dom, była zamożniejszą, ale brzydszą niż Dorota.

Upłynęły dwa lata. Dorota starała się zapomnieć Tadziulka, ale serce nadal bolało. Dopiero choroba matki i niepokój o nią zatarły dawne uczucie. Matka w łagrach nabawiła się raka żołądka i obecnie powoli umierała. Nie pomogła operacja – było już za późno. Ten drugi cios Dorota przeżyła jeszcze ciężej. O Tadziku już prawie zapomniała, gardziła nim.

Zaczęło się samotne życie jeszcze pełnej energii kobiety, pełne smutku po stracie matki. Nagle Dorota dostaje wiadomość od wujka z Ameryki, który wyjechał tam podczas wojny, że posyła jej w prezencie auto. W tych czasach nie można było wysłać amerykańskiego auta, ale można było kupić auto krajowe, zapłaciwszy cenę w dolarach. W taki sposób Dorota została właścicielką białego auta. Znajomi mówili, że to Opatrzność wynagradza Dorotę za więzienie, za zdradę Tadzika, za śmierć matki.

Kursy dla kierowców odrywały jej myśli od ukochanej matki. Wkrótce zaczęła nieźle prowadzić swego „białego konika" i wyjeżdżała latem z rodziną lub koleżankami na wycieczki za miasto.

Gdy pewnego letniego wieczoru wróciła z takiej wycieczki, sąsiadka powiedziała,że pytał o nią pewien pan – brunet, bardzo żywy, wesoły i powiedział, że przyjdzie jutro. Nazwiska nie wymienił. Nazajutrz po pracy, oczekując na gościa, Dorota gubiła się w domysłach, kto to może być. Gdy wreszcie na energiczne pukanie otworzyła drzwi – stanął przed nią nieznajomy pan. Niewysoki, elegancko ubrany, z wiązanką kwiatów w ręce. Wręczył kwiaty, popatrzył na Dorotę śmiejącymi się ciemnymi oczyma i zapytał, czy niczego nie odczuwa. Dorotę jakby olśniło – Robert! – zawołała – to naprawdę pan? Okazało się, że niedawno wrócił z więzienia, od razu zaczął ją szukać, ale dopiero znajomi wskazali mu jej nowe mieszkanie. Więc od razu przyszedł. Wyraził współczucie z powodu śmierci matki, której nie zdążył poznać. Był tak miły, rozmowny, opowiadał przede wszystkim o tym, jak jeszcze na studiach zakochał się w niej, szukał kogoś pośród znajomych, kto przedstawiłby go Dorocie, lecz w międzyczasie aresztowano go. Potem w więzieniu dowiedział się, że i ona tam się znajduje, więc napisał ten pierwszy list, a resztę już Dorota zna.

Dorota podała herbatę, zaczęli opowiadać swe łagrowe przygody i przegadali prawie do północy. Przed odejściem Robert zapytał Dorotę, czy zachowała zaręczynowy pierścionek. Dorota wyciągnęła z szufladki szkatułkę, a z niej popielaty guzik. Oboje poczuli się bardzo wzruszeni. Na drugi dzień Robert przyniósł złoty pierścionek – tym razem prawdziwy zaręczynowy pierścionek. Dorota ożyła. Robert był tak czuły, tak opiekuńczy, zupełne przeciwieństwo Tadzika. Jak dobrze być kochaną, pomyślała Dorota. Po miesiącu odbył się skromny ślub. Bukiet ślubny młodzi złożyli na grobie matki Doroty.

Upłynęły lata. Dorota i Robert mieszkają w nowym własnym mieszkaniu, elegancko urządzonym. Jugosłowiańskie meble, czeskie szkło, kryształy, obrazy, przedwojenne pianino. Mają też nowego „konika", tym razem pomarańczowego. Obok fotografii matki Doroty wisi dziwny malutki obrazek – w drewnianej ramce, pod szkłem, na malinowym atłasie przyszyty zwykły popielaty guzik od męskiego garnituru. Tylko bliscy i przyjaciele wiedzą, że jest to ten niezwykły zaręczynowy pierścionek.

Pierwsza nagroda II Konkursu Literackiego dla Polaków na Ukrainie 1994 r.

Mikołaj Jakimczuk („Wołyń")

GŁÓD

Opowiadanie

Rodzina Pawłowskich nie była najbiedniejszą w Nepediwce. Mieli trochę ziemi, konia, krowę z cielem, no i oczywiście kury, kaczki. Jak na te czasy, to dość dobre gospodarstwo. Nad wszystkim pracowali sami. Parobków nie mieli. Wystarczało swoich pracowników. Najstarszymi w tej rodzinie byli dziadek Tomasz i babcia Maria. Razem z nimi mieszkał ich syn Leon i synowa Józia. Mieli też dwóch wnuków Jasia, Marka i wnuczkę Kasię. Wnuczka była pociechą całej rodziny. Wiadomo jak to jest z najmłodszymi.

Od jakich czasów ta polska rodzina zamieszkała w Nepediwce, to już prawie nikt nie pamięta. Starsi ludzie ze wsi mówią, że dziadek Tomasz przybył tu jeszcze przed pierwszą rewolucją rosyjską. Kupił tutaj od miejscowego magnata trochę ziemi, wybudował chatę i sprowadził całą rodzinę. Była to pierwsza polska rodzina na całą wieś. Krewni Pawłowskich mieszkali gdzieś pod Berdyczowem. Ale ponieważ nie było tam możliwości kupienia ziemi, więc dziadek Tomasz przeprowadził się tutaj, bliżej Koziatyna do Nepediwky.

Mieszkali w zgodzie ze wszystkimi sąsiadami. Nikt nie uważał na to, że byli Polakami. Pawłowscy ludzie pobożni, ale ponieważ nie było we wsi kościoła katolickiego, chodzili do cerkwi prawosławnej. I nikt im nie miał tego za złe.

Kto wie jakby żyli oni dalej, ale po przewrocie październikowym siedemnastego roku w Rosji, tu też przyszła władza sowiecka. Wtedy to już zaczęły się ciężkie czasy. Przewodniczący rady wiejskiej Hryhorij, który nie był miejscowym, bardzo nie lubił Pawłowskich za to, że byli Polacy. Nie mógł on zapomnieć tego, jak jego pułk, w którym służył, doznał porażki od polskich oddziałów w czasie wojny bolszewicko-polskiej. Więc całą swą nienawiść do wszystkiego polskiego skierował na tę jedyną we wsi polską rodzinę. Ale dopóki we wsi nie było kołchozu Pawłowscy nie bardzo tym się przejmowali, bo mieli swój chleb i coś niecoś do chleba.

Tak było do 1932 roku. To był rok, w którym założono w Nepediwce kołchoz. Ludzie niechętnie wstępowali do niego, ale Hryhorij zmuszał siłą, a kto opierał się, tego mianował kułakiem. Wtedy przyjeżdżali z Koziatyna pełnomocnicy i wysiedlali całą rodzinę na Syberię.

Aby uniknąć tego losu, Pawłowscy też wstąpili do kołchozu. Oddali wszystko co mieli: ziemię, bydło a nawet ptaków domowych.

I wtedy to zaczęły się ciężkie czasy dla rodziny dziadka Tomasza. Bardzo szybko skończyły się te małe zapasy zboża, które mieli jeszcze przed wstąpieniem do kołchozu. W rodzinie jak w całej wsi zaczął się głód.

Kiedy przyszła jesień przyjechali pełnomocnicy z Koziatyna i zabrali wszystkie plony, nie zostawiając we wsi nawet ziarenka. To było strasznie. Jak przetrwać zimę? Pierwsza w rodzinie zmarła babcia, która wiedząc, że wnukom brakuje jedzenia zaczęła oszczędzać na sobie i prawie nic nie jadła, wszystko oddając dzieciom. Pewnego wieczoru położyła się spać, a rano już nie obudziła się...

Dziadek Tomasz trochę się trzymał. Chodził po polu, szukał nie wykopane ziemniaki, buraki. Czasami coś mu się udawało znaleźć. Ale tego było ciągle za mało. Dzieci nadal puchły z głodu. Za babcią odszedł i Jaś, który chociaż i był bardzo chorowity. Takim się urodził. Żeby jakoś ratować pozostałe dzieci dziadek Tomasz nadal szukał żywności. Pewnego razu udało mu się upolować wronę. Więc przyniósł ją do domu i kazał synowej ugotować na obiad, ale tak dzieci nie widziały z jakiego to ptaka mięso. Józia ugotowała wronę i Marek z Kasią może po raz pierwszy od kilku miesięcy jedli mięso z gołębia, jak powiedziała mama.

Z myślą o przyszłej wiośnie i o tym, że trzeba będzie coś posiać na tym kawałku pola, który mu pozostawili, Leon schował w piwnicy trochę ziaren pszenicy. Ale ktoś z sąsiadów doniósł do rady wiejskiej.

Tamtego dnia Józia gdzieś w piwnicy znalazła kilka ziemniaków, które zapadły między deski, dlatego nie zauważyła ich wcześniej. Teraz znalazła i bardzo się ucieszyła. Przyniosła ziemniaki do pokoju i zawołała Kasię.

– Chodź tu córeczko, a zobacz co znalazłam w piwnicy. Dzisiaj na obiad będziemy mieć gotowane ziemniaki.

– Oj, mamusiu, jakie to szczęście, prawdaż – ucieszyła się Kasia, która z głodu robiła się coraz chudsza. Wydawało się, że na tym dziecku pozostały tylko kości i skóra. Dziewczynka gasła na oczach u rodziców i dziadka.

– Dzisiaj, moja córeczko, będziesz miała królewski obiad – powiedziała Józia i zaczęła myć ziemniaki, by je ugotować. Potem rozpaliła w piecu, dostała garnek, złożyła w nim ziemniaki, zalała wodą i postawiła gotować się.

Kiedy obiad był prawie gotowy, Józia zauważyła jak przed oknami przeleciał jakiś cień. Ona wyjrzała przez okno i zobaczyła, że do chaty idzie Hryhorij z dwoma pełnomocnikami w skórzanych kurtkach. Za jakiś moment wszyscy trzej byli już w pokoju.

– Gdzie ten Polak, skurwisyn? – ryknął od progu Hryhorij.

– W sądzie, towarzyszu Hryhorij – powiedziała Józia.

– Nie jestem dla ciebie żadnym towarzyszem! Wołaj tu natychmiast swego zasranego męża.

– Kasiu, zawołaj tatę – poprosiła Józia córeczkę.

Kiedy Leon wszedł do chałupy, Hryhorij z krzykiem rzucił się do niego.

– Gdzie schowałeś zboże?

– Jakie zboże, obywatelu przewodniczący? – wystraszył się Leon – Ja wszystko oddałem co miałem.

– Ach tyż kontrrewolucjonistą białopolski, bawisz się ze mną w igraszki? Czytaj, przecież tutaj jasno napisano, że ty ukrywasz zboże! – Hryhorij podsunął pod nos Leonowi świstek papieru, na którym nierównym pismem było napisane „Towarzyszu Hryhoriju, donoszę, że Polak Leon Pawłowski schował w swojej piwnicy zboże, by nie oddać go dla naszej władzy radzieckiej" i podpis „Oddany sprawie rewolucji Anton".

„Kto by to mógł być?" – pomyślał Leon. Ale Hryhorij nie dał mu czasu do namysłu.

– Prowadź do piwnicy! No, szybko.

Wszyscy wyszli z chaty. Wraz z Leonem zeszli do piwnicy Hryhorij i obaj pełnomocnicy. Na dnie suchej beczki, w której niegdyś kiszono kapustę, leżał kamień, pod nim krążek z desek, a pod krążkiem zawiązany woreczek. Leon wyciągnął go. Było w nim ze dwa wiadra pszenicy.

– Ach tyż mordą białopolska, chciałeś schować to od władzy radzieckiej! – wykrzyknął Hryhorij i uderzył Leona w twarz. Leon pochylił się, ale nie upadł. Tylko na twarzy koło ust zjawiła się plama krwi.

– Ciągnij na górę. No, szybciej.

Na podwórku stała Józia i patrzyła jak z piwnicy powoli wylazł jej Leon z workiem w rękach, za nim reszta. Kiedy już wszyscy ukazali się na podwórku, Józia rzuciła się pod nogi Hryhorija.

– Towarzyszu przewodniczący, panie Hryhoriju, nie zabierajcie nam tego zboża!... – błagała. – Przecież to tylko kilka nasion by posiać wiosną... Jeżeli pan nam to zabierze to cała rodzina w przyszłym roku umrze z głodu... Proszę pana...

– Odsuń się – ryknął Hryhorij – precz z drogi. Co mnie obchodzi twoja kułacka rodzina. Ja bronię władzę radziecką. I on kopnął z całej mocy stojącą na kolanach przed nim Józię. Od tego kopnięcia kobieta nagle osunęła się i upadła na ziemię...

– Mamusiu! – wykrzyknęła Kasia. – Co oni tobie zrobili? Dziewczynka rzuciła się do Józi i płacząc pomogła jej podnieść się.

– Nie płacz córeczko, nie bój się, nic mi nie jest – ciężko westchnęła Józia, głaskając Kasię po główce.

– A teraz wszyscy do chaty. Spiszemy protokół – rozkazał Hryhorij.

W pokoju jeden z pełnomocników spisał protokół i kazał Leonowi podpisywać go. Po tym wszyscy trzej mieli już wychodzić, gdy nagle Hryhorij zauważył, że w piecu coś się gotuje w garnku. Podszedł do pieca, wyciągnął garnek, zobaczył w nim ziemniaki i ze złością rzucił garnkiem o ziemię. Ziemniaki wysypali się. Hryhorij zaczął po nich deptać obcasami swoich butów.

Kasia, która stała obok stołu, patrzyła na to, jak wystraszone jagniątko z szeroko otwartymi oczami. Nie mówiła nic, tylko patrzyła. Jej oczy nagle zrobili się jakieś zsiwiałe a spójrzenie niewidoczne...

Od przerażenia ani Leon ani Józia nie potrafili też nic powiedzieć. Hryhorij skończywszy deptać ziemniaki splunął i powiedziawszy – Macie skurwi Polacy – wyszedł z pełnomocnikami z chaty. W pokoju zostali troje. Wystraszona Kasia i przerażeni Leon z Józią. Na podłodze leżał garnek i rozdeptane, zmieszane z pyłem ziemniaki.

– Dlaczego wujek to zrobił? – cicho powiedziała Kasia.

– Przecież to był mój obiad... Potem powolutku podeszła do swego drewnianego łóżka i tak samo powolutku położyła się na nim. Od tamtej chwili Kasia więcej nie powiedziała nic. A za tydzień akurat w niedzielny wieczór dziewczynka odeszła na zawsze...

Druga Nagroda II Konkursu Literackiego
dla Polaków na Ukrainie 1994 r.

WYNIKI II KONKURSU LITERACKIEGO DLA POLAKÓW NA UKRAINIE 1994 R.

Na konkurs wpłynęło 14 prac,
z czego warunki uczestnictwa w konkursie spełniło 13 prac.
Jury II Konkursu Literackiego dla Polaków na Ukrainie w składzie:

1. Ludmiła Mariańska
2. Iwona Smolka
3. Jacek Łukasiewicz
4. Mariusz Olbromski

kierując się kryteriami określonymi w regulaminie konkursu nagrodziło 8 prac.
W kategorii: proza, wspomnienia – dwie I nagrody równorzędne po 3.000.000 zł otrzymują:
Pani Julianna Górna ze Lwowa – za opowiadanie pt. „Pierścionek" (godło „Zapomniana")
– Pan Lew Chmielkowski z Czerkas – za opowieść pt. „Bez Matki" (godło „Czerkasy")
dwie II nagrody równorzędne po 2.500.000 zł otrzymują:
– Pan Mikołaj Jakimczuk z Nowowołyńska – za wspomnienie pt. „Głód" (godło „Wołyń")
Pani Irena Partyka-Wasidłów z Iwano-Frankowska – za opowiadania pt. „Echo dzwonu katyńskiego" (godło „Patria")
W kategorii: poezja, proza, wspomnienia – wyróżnienia po 1.500.000 zł przyznano:
– Panu Witoldowi Wróblewskiemu ze Lwowa – za wspomnienia pt. „Z przed 46 lat" (godło „Dzięcioł")
– Pani Ewie Teiner ze Lwowa – za wspomnienia pt. „Historia jednego życia" (godło „Lwów '93")
– Pani Mieczysławie Piotrowskiej z Zaleszczyk – za zestaw 10 wierszy (godło „Mieczysława")
– Pani Walentynie Czencowej z Czerkas – za wiersze „Zza drutów" (godło „Walentyna")
Organizatorzy konkursu składają serdeczne podziękowania wszystkim autorom, którzy nadesłali swoje prace.
Składamy również podziękowania Konsulowi Generalnemu RP we Lwowie i Redakcji Gazety Lwowskiej za pomoc w organizacji konkursu.
Uroczyste wręczenie nagród i wyróżnień laureatom konkursu odbędzie się w dniu 11 czerwca 1994 r. o godz 17.00 w Muzeum Narodowym Ziemi Przemyskiej, pl. Czackiego 3 w Przemyślu.
Informujemy, że w roku bieżącym ogłoszona zostanie III edycja konkursu literackiego. Komunikat w tej sprawie ukaże się w Gazecie Lwowskiej. Zachęcamy i zapraszamy do udziału w konkursie.

Św. Andrzej – 1995

Jan Kalinka

MIĘDZY – MIĘDZY

Przy mogiłach stoją
ludzie.
W grobach
bliskich kości.

Za ogrodzeniem miasto.
Zmrok i coraz
nowe światła w oknach.

A dusze zmarłych gdzie?
Wygląda, że gdzieś

między – między.

A-B – 1992

Jan Kalinka

WSPOMINAM OJCA

Często wspominam
zmarłego ojca.
Nie jest to przechwałka,
bo i tak co raz gubię
jakiś rys rodzica,
bo powinno być więcej modlitwy
za niego.
Najbardziej się ożywiam,
gdy wspominając słowa ojcowe,
tak je słyszę
jakby on je teraz wymawiał:
ta barwa, to ciepło.

Uśmiecham się wtedy
do słów
co wracają

i mocniej wierzę,
że człowiek

to i ciało
i dusza.

Dwie wieże – 1995

Jan Kalinka

ŚWIATŁO Z WÓLKI

Ten długi szereg drzew
wzdłuż drogi,
te domy za drzewami,
to pasmo wzgórz nad domami.

Po jedenastu latach
krzyczę i szepczę:

jakie to piękne.

Staś Rodziński pewnie
ze spokojem rzekłby:
Kwestia światła.

A Brat Albert, i malarz i święty,
potakująco skinąłby głową?

I nic to, że jakby szło
o światło,
przez małe „ś".

Pasaż na Kazimierzu – 1992

Jan Kalinka

NORWIDA PAMIĘCI

Taka ciężka
pozioma belka.

Gdy znajdziesz
drzewce p i o n o w e
– wypełnisz pielgrzymowanie.

I będzie tuż, tuż

Zmartwychwstanie.

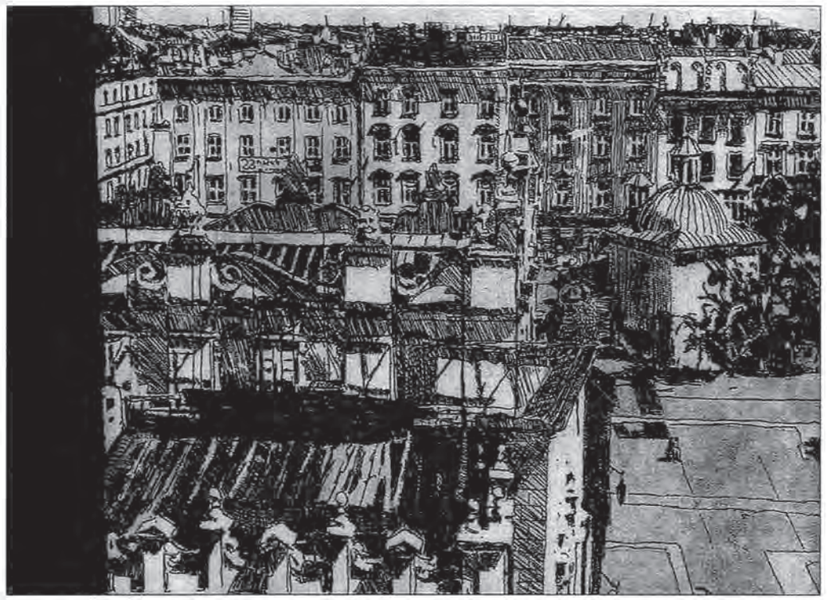

Z Ratusza – 1995

Jan Kalinka

PANI N.

Na Żoliborzu
nieznajoma do naszej grupki
podeszła:

Przysłali mnie Pan Jezus i ksiądz Jerzy.

Podejrzana ta mowa?
Ale po małym zastanowieniu
oczywistością jest, iż przypadków
w Bożym świecie nie ma.

Ta kobieta pamiątki
po księdzu Jerzym nam pokazała
i spotkanie dopełniła
myślą ważną:

Wie, iż jest egzaltowana –
ale to przez wielkość
księdza Jerzego.

Ks. Jan Kalinka,
ur. 1946 r.
w Mokrzyszowie.
Proboszcz parafii
pod wezwaniem
Błogosławionej Jadwigi
Królowej w Wólce
Podleśnej k. Rzeszowa.
Autor dwóch tomików
wierszy: „Widok
pielgrzymkowy" (1991),
„Jak cienka jest ta
zasłona" (1993).

Krakowskie Dachy – 1995

Ludmiła Mariańska
Iwona Smolka

POETA KONTRA KRYTYK

Na Strychu 25 lutego 1994 r.

Ludmiła Mariańska:
Po raz pierwszy przyjechałam do Przemyśla na zaproszenie młodego chłopca z Młodowic, z wioski koło Fredropola, który odkrył mnie lata temu w jakimś dziecięcym czasopiśmie i tak ciekawie przedstawiał mi w listach swoje życie w małej wsi przygranicznej, że zachęcona nie odmówiłam zaproszenia. Wówczas jedenastoletni młody człowiek pokazał mi prawie cały Przemyśl, a zgonił mnie po górkach miasta bardzo. Byłam ujęta niesłychanie jego zapałem, bo do Przemyśla był przywiązany bardzo mocno. Do miasta, z okolic którego pochodzi. Odwiedziłam jego szkołę, cerkiewkę, w której odbywała się msza greckokatolicka, a była to dla mnie zupełna nowość... Zaprowadził mnie na zamek, jeszcze wówczas w remoncie, pokazał oczywiście katedrę i nagrobek Fredry, który bardzo mnie jakoś przejął, a także muzeum, parter, pierwsze piętro i piękne ikony na drugim...

Wydałam siedem zbiorów wierszy i na ogół przez krytykę nie byłam zauważana, może dlatego, że jestem wychowanką Skamandra. W mojej młodości skamandryci byli grupą najściślejszą, byłam porwana ich żywiołowością, lubiłam rytm tej poezji. Tuwim ze swoją witalnością i wspaniałym słowotwórstwem, Wierzyński ze swoim optymizmem byli dla mnie jakimiś wzorcami. Już mniej Słonimski, intelektualista, ponieważ wydaje mi się, że na mnie działają bardziej emocje niż intelekt. Lubiłam bardzo Lechonia, ale nie tego, który pisał wspaniałe wiersze o historii Polski, jak *Mochnacki* czy cały ten *Poemat karmazynowy* – znakomity polski song; bardzo lubiłam *Srebrne i czarne*, jego wiersze *Siedem grzechów głównych* – te liryki mówiące o człowieku i jego słabościach i wadach. Stąd zaczęłam pisać tak jak skamandryci: z rymem, z rytmem stroficzne wiersze.

Ujawniłam swoje wiersze bardzo późno, bo debiutowałam w latach pięćdziesiątych. Zresztą bardzo się wstydziłam tego debiutu i dopiero na starość ośmielam się te wiersze pokazywać i o nich mówić. Myślę, że każdy ma swoje osobiste sprawy do przekazania, a jeżeli trafią one do kogoś, to dla mnie jest to wielka nagroda. Ja się tego nie wstydzę, ani swojego wzruszenia, ani wzruszenia, które wiersze moje budzą.

Nie miałam szczęścia do krytyki może właśnie dlatego, że byłam dość tradycyjna. Nie byłam ani ze szkoły Różewicza, który zupełnie zmienił poezję polską, sprowadził ją na ziemię bardzo mocno tym swoim słynnym wierszem, w którym wypowiedział moje pokolenie, moje wojenne pokolenie (on jest z 1921 roku, a ja z 1923). Ja byłam przerażona wojną i nie umiałam o tym pisać. A Różewicz powiedział: *mam 24 lata, ocalałem prowadzony na rzeź*... To był początek wiersza i ta poezja jest taka właśnie, gdzieś drążąca do trzewi, bardzo gorzka, bardzo pesymistyczna i trudna. Dla mnie trudna do przyjęcia i do akceptacji. Później Julian Przyboś usiłował mnie nawrócić na swoją awangardę i był ogromnie rozczarowany, że nie wychodziło mu to. Ja napisałam dwa wiersze w jego stylu i to było tak sztuczne i do mnie niepodobne, że szybko to zarzuciłam. Wróciłam do tego co potrafię. Stąd moje wiersze są bardzo nierówne. Niektóre są pisane akademicką strofą, z rymami, rytmem, a inne płyną inaczej. Te wiersze są niejednolite. Tym sobie tłumaczę obojętność krytyki...

Iwona Smolka:
Nie, jest jeszcze tak, że pani Ludmiła Mariańska jest od wielu lat tłumaczką poezji angielskiej, dramatu staroelżbietańskiego, liryki Elizabeth Browning, Roethke'go, Wildera, Yeatsa, Marianny Moore i Emilii Dickinson – najbardziej ukochanej poetki Ludmiły. Otóż dzieje się coś takiego, że tłumacz wczuwa się absolutnie w psychikę osoby, która ten wiersz napisała i – żeby dobrze przetłumaczyć – musi stać się niemal tamtą osobą, zbliżyć się maksymalnie do osobowości osiemnasto- a czasami szesnastowiecznej. Dzieje się tak – a to jest bardzo wyraźne w poezji pani Ludmiły – że w jakiś sposób nie treść, ale właśnie forma ostatnio tłumaczonej poetki czy poety rzutuje potem na sposób, w jaki sama zaczyna pisać wiersze. I nie jest to naśladownictwo. Ja to nazywam darem empatii. Takim spotkaniem najbardziej osobistym i intymnym jest spotkanie tłumacza z innym poetą. Jest to ten bezpośredni, najbardziej głęboki kontakt. I wtedy, po przeczytaniu np. ogromnego, wspaniałego tomu Emilii Dickinson w poezji Ludmiły zaczyna się dziać coś takiego ze strofą i ze słowem, co jest w poezji Emilii Dickinson. Czyli nagłe załamanie rytmu przy rygorystycznej strofie, asonans, wyjście ze ścisłego zwrotkowania – rozwalenie tego, przejście nagle do mowy potocznej.

Ludmiła Mariańska:
Przeczytam Państwu wiersz, w którym usiłowałam uchwycić to, co jest nie do objęcia...

Mój świat, mój wiek,
tytuły ksiąg
przywłaszczające doświadczenia tysięcy doświadczonych
szczątki ludzkie w czterech deskach okładki
jak odcięta ręka Cendrars'a
Mój świat, mój wiek,
nie do objęcia

Mój świat jest tytułem wiersza Kasprowicza, a *mój wiek* jest spisanymi przez Miłosza rozmowami z Aleksandrem Watem, a *odcięta ręka* jest z Cendrars'a, poety francuskiego, który pisał m.in. o podróży koleją transsyberyjską. W tych czterech deskach okładki kryje się całe ludzkie życie, którego na pewno nie można objąć w jednym wierszu. To są odpryski życia. Składa się ono z ułamków, kawałeczków: teraz kupię chleb, teraz pójdę do pralni, teraz bym coś napisała, ale zaraz, właśnie w radio jest ciekawa audycja... Acha, muszę się przygotować, bo jedziemy już do Przemyśla... I tak dalej, i tak dalej, coraz szybsze tempo i na starość się ono zwiększa według powiedzenia, że kilometr jest coraz dalszy, a kilogram coraz cięższy. Musimy przyspieszyć, by dogonić czas z rana, który straciliśmy przy ubieraniu się, bo wieczorem ubieramy się wolniej. Współczesna poezja składa się jakby z tych odłamków. To czego nie mogą pojąć w niej zwłaszcza ludzie starsi: i budka z piwem, i to, że kogoś gdzieś ktoś napadł, i ktoś przejechany przez tramwaj – to wszystko się miesza z jakąś filozofią, usiłując jednocześnie złapać życie. James Joyce usiłował wszystko jednocześnie wyrazić w swojej powieści: życie wewnętrzne człowieka i jego życie zewnętrzne, wszystkie codzienne czynności przedstawić, z których nasze życie się składa. W wierszu to jest nie do powiedzenia i dlatego są one fragmentami.

NA NUTĘ IŁŁAKOWICZÓWNY

Tyle czasu przeszłego! Foliały, fotografie –
i niczego, niczego pozbyć się nie potrafię.
Chodzi za mną to wszystko:
klasztorna wieża, cmentarz,
biała bluzka broszką z granatów spięta,
wróżby z akacjowych listków,
młodość, spóźniona dojrzałość,
i wszystkiego mi jeszcze mało!
Dokładam muszle zebrane nad oceanem,
bryłkę soli z Wieliczki,
maszynopis upycham kolanem,
zdjęcie kogoś, kto przepadł bez wieści,
nakrapiane pióro perliczki,
sowę, kościół w Słomczynie –
gdzieś to wszystko się mieści!

Pamięć – dziesięć garbów wielbłąda.
Nie, nie będę się więcej oglądać.

(Z tomiku *Zmrożone światło*)

To nagromadzenie, ten nadmiar powoduje, że człowiek czasem nie może pisać. Zresztą to są chwile, kiedy człowiek zapisuje coś, czasem to się zaczyna od jednego słowa, czasem to wydarzenie budzi jakieś skojarzenia i potem to gdzieś z tego dna pamięci wypływa, wydobywa się obraz zupełnie nieoczekiwany.

W tym tomiku jest dużo wierszy o starości, dlatego, że dla mnie jest to niepojęte, że wszystkie lata szybko minęły i orientuję się, że nie wypada już podskakiwać, wygłupiać się, bo wiek narzuca pewną konwencję...

Pytam Iwony dlaczego tak się dzieje, dlaczego ja nie umiem się dostosować do tego wieku, dlaczego jestem taka łapczywa i czy to się nigdy nie skończy? Czy ja już zawsze będę tak płonąć życiem, czy zawsze będę ciekawa i Przemyśla, i Młodowic, i teraz Lwowa, gdzie przecież nigdy nie byłam? Może to będzie ciężkie przeżycie? Ale tak samo fascynowała mnie Ameryka jak fascynował Tarnów, kiedy pierwszy raz tam przyjechałam, jak Sandomierz. W Sandomierzu dobrze się pisze wiersze. Może przeczytam *Clelię*?, wiersz, który sam się napisał? Słuchałam kiedyś jakiegoś koncertu Telemana i przypomniał mi się koncert, nie wiem dlaczego tak nazwany:

CLELIA

Z koncertów Telemana – I

Oto jawi się Clelia w sukni z nut,
płynącej decrescendo aż do bosych stóp.
Wschodzi jasną kadencją
przez pryzmat powietrza,
może o nutę niższa,
o pół tonu bledsza,
niż kiedy z ukochanym szła po górskiej łące.
A on już wtedy słyszał w niej ten koncert,
zapisywał jej kroki, skłon szyi, ruch rąk
na pięciolinii łąk.
Nawet jej włosów grube, jasne sznury
wplatał do partytury.

A kiedy nuty między ptaki dzielił,
ujrzał,
że nie ma Clelii

(Sandomierz, maj 1989, z tomu *Zmrożone światło*)

CZERWIEC

Na przemian popielate, perłowe, przejrzyste
przesuwa się nad nami powietrze obłoków
i skrapla w ciszę.
Łąki milkną pod kosą i kładą się trawy
na spoczynek w ostatnim pachnącym oddechu.
Miód koniczyny skapuje na język.
Rumianek żółte oczko kryje w białych rzęsach.
Modrzewią się zielone i różowe szyszki
wsród pajęczyny igieł.
Czerwiec płacze nocami skryty i nieufny,
w dzień udaje wesołka, przebłyskiem uśmiechu
ogrzewa, rzuca płoche obietnice,
wycofuje się szybko, kiedy błyskawice
rozrywają granatem horyzont i lecą
z niebieskiej trampoliny aż na dno jeziora,
nie zostawiając skazy na stłuczonym lustrze.

Wieczorem jak kołatki w dzień Wielkopiątkowy
do głębi nas rani
weselny klekot bocianów

(Mojtyny, czerwiec 1991, z tomu *Zmrożone światło*)

Iwona Smolka:

Pani Ludmiła mówiąc o krytyce miała rację o tyle, że krytyka jest w stanie zarówno wylansować, czasami naddając poecie czy pisarzowi wartości, których proza czy poezja nie posiada, bądź też potrafi zniszczyć poetę na zawsze.

Przykładem zniszczenia, na szczęście nie raz na zawsze, jest ostatnio wydana powieść Andrzeja Kalinina *I Bóg o nas zapomniał*. Ta powieść dostała w tej chwili nagrodę Czesława Miłosza. Jest to jedna z najbardziej wstrząsających powieści jakie czytałam. O autorze nic nie wiedziałam. Zadzwonił do mnie po audycji omawiającej tę książkę. Urodził się w 1933 roku, zaczął pisać jako młody człowiek i wysyłał swoje opowiadania do *Odry*. I stamtąd dostał taką odpowiedź, że powiedział, że już nigdy więcej nie sięgnie po pióro. Przez 25 lat nie napisał jednego słowa. Tę książkę wydał dzięki Odojewskiemu, ponieważ wyszła ona w *Arce* „z polecenia Włodzimierza Odojewskiego". Te słowa były na okładce i dlatego sięgnęłam po nią. W ten sposób działała krytyka. Krytyka również ośmiela ludzi, którzy przez wiele lat nie są w stanie opublikować swojego utworu, bo uważają, że jeszcze nie dorośli, jeszcze nie jest on doskonały i wart opublikowania. Mówiąc to myślę o poecie z Przemyśla, bo Józef Kurylak jest świetnym poetą, który czekał bardzo długo na debiut nie dlatego, że nie chciał, ale dlatego, że uważał, że jeszcze nie dorósł do debiutu. Myślę, że gdyby się nie ośmielił opublikować wierszy, nigdy by nie zaistniał.

Ludmiła Mariańska:

...To tak już jest, że z latami człowiek patrzy gdzieś tam, **poza, na drugą stronę...** Ale zawsze nowy wiersz wydaje mi się lepszy. Zresztą zawsze sądziłam, że wiersze piszą wspaniali ludzie. Wydawali mi się tacy uskrzydleni... I dopiero później przekonałam się, że są zwykli, tacy sami, normalni, którzy muszą i kolację zrobić, i przespać się, żyją normalnym codziennym dniem.

Ale czasami udaje mi się poza tę rzeczywistość wyskoczyć na chwilę, dzięki wyobraźni, jednej ze wspaniałych cech, którą mamy, która może nas przenieść w inny świat, dzięki której można podróżować dokądkolwiek.

Ludmiła Mariańska, ur. w Częstochowie. Poetka, tłumacz, Prezes Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Mieszka w Warszawie.
Iwona Smolka, ur. w Warszawie. Krytyk literacki. Mieszka w Warszawie.

SZTUKA I POLITYKA

Na Strychu 9 września 1994 r.

Józef Kurylak

Poetykę Krzysztofa charakteryzują trzy właściwości: upowszechnianie wartości uniwersalnych tradycji europejskiej (np. obecność natury jako zjawiska kosmicznego), wysoki intelektualizm oraz wyobraźnia, której obrazy powstały z elementów współczesnej cywilizacji. Krzysztof należy do poetów konfrontacji, jest jakby poetą konfliktowym w zwarciu z rzeczywistością. Konfliktowość bywa wyrazem buntu, a czasem wyrazem niedostosowania. U Krzysztofa to z pewnością jest bunt. Poeta uznał rzeczywistość poniekąd za koszmar senny, w którym nie sposób poetycznemu JA egzystować. Pyta i uzasadnia pytanie: Co ja tu robię? To pytanie często powtarza się w jego utworach. Ale nie odczuwa się w nim dekadenckiego smutku, upadku, rezygnacji, kryzysu, kresu – lecz trzeźwość. Szczególny to konflikt na tle polskim – konflikt pozytywny.

Krzysztof Karasek

W początkowym okresie tworzenia (swój pierwszy tomik wydałem już prawie 25 lat temu) dużą rolę w mojej twórczości odgrywała historia, konkret historyczny, właśnie sprzeciw historyczny. Jednak od pewnego czasu historia coraz mniej mnie interesuje, ponieważ sądzę, że sztuka poetycka została skompromitowana w latach 80. Był to czas, w którym wiersze były bardzo potrzebne i dużo ich wydawaliśmy. Ale niestety, ich poziom dziś nie sprawdza się. Historia nie jest najlepszym materiałem dla wierszy. Być może wyraża się lepiej w działaniu, jednak i poeci chcieli tutaj coś zrobić, towarzyszyli historii. Niewiele wierszy „ocalało" z tego okresu, w sensie estetycznym to często jest klęska słowa. Moim zdaniem, na zawsze w literaturze pozostanie jedynie kilka wierszy. Na pewno „Raport z oblężonego miasta" Zbigniewa Herberta. Jest to wyjątkowy wiersz, w którym historia odgrywa olbrzymią rolę a jednocześnie wiersz znakomity. Także pojedyncze wiersze Jarosława Marka Rymkiewicza, Wisławy Szymborskiej, może jeszcze kilka innych pisanych z wielkim rozmachem intelektualnym i wielką misją słowa.

Czasy się zmieniły i poeci stanęli przed nowym zadaniem. O czym pisać, skoro problemy historyczne próbują rozwiązywać partie polityczne. Nastąpiła chyba dobra cezura, bo w Polsce zwykle literaturę i poezję łączono z historią i działaniem. W wielu wypadkach powodowało to nieporozumienie, bowiem mieszano etykę z estetyką i tak bywało wielokrotnie, że poezja w Polsce była polityczna, a politycy poetyccy. Mamy kilku poetów z lat 80., którzy byli wybitnymi, np. Jan Polkowski z Krakowa, jedna z ówczesnych wielkości, a dziś już go nie ma, nie ma poety. Teraz przychodzi czas skupionej uwagi na słowie. Ale w wielu przypadkach poszukiwania kończą się klęską. Z mojego pokolenia Ryszard Krynicki przestał pisać wiersze, Stanisław Barańczak przechodzi dziwne ewolucje; pisze wiersze dla dzieci i jakieś takie dowcipy właściwie. Jedynie Adam Zagajewski przyjął pewien model dość zdystansowany, co wyszło sądzę na gorsze, ponieważ stylizuje się trochę na Miłosza. Moje zainteresowania dotyczą pogłębienia filozoficznego, wejścia w bardziej naturalny obraz świata; jeżeli historia „zostanie załatwiona", to jesteśmy na taki obraz świata skazani: inni ludzie, krajobraz, miasto – stają się zwykłymi tematami. Właściwie jak w tej zwykłości poeta ma się zmieścić?

Jan Musiał

Rozgrzeszyliście się z historii. Historia uciekła od was, przegoniła. Wybrzydzacie na związki estetyki z etyką. Rozumiem, że etyka psuje estetykę. Ale przecież to, co stanowiło tło waszej dumy, poezji całego pańskiego pokolenia lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, to jest właściwie jeszcze mocniejsze niż dawniej – zmywa się dziś eleganckie posadzki po wczorajszych śmiałkach, razi jakaś żebraczka na marmurowym eleganckim podeście... Tło zostało właściwie to samo. Czy nie jest tak, że obeszła was, ubiegła, czy uciekła przed wami ta historia, która kazała wam przenikliwiej niż historykom czy innym komentatorom rzeczywistości docieknąć sedna kłamstwa, tego wszystkiego, przeciwko czemu się buntowaliście? Czy to nie jest tak, że to wy uciekliście raczej przed historią?

Wiersze wasze są piękne. Bawicie się pięknymi słowami jak wytrawni jubilerzy. Ubrane są w metafory, typy figur są bardzo kunsztowne, wypracowane, wystudiowane...

Ale mnie trzeba właśnie w poezji posmakować, gdzie jest prawda, a gdzie kłamstwo, gdzie jest dobro, a gdzie zło, gdzie jest piękno, a gdzie wielka gra. A zatem szukałbym tego związku organicznego, powiedziałbym między estetyką a etyką, epistemologią. Czy nie jest tak, że zatraciwszy tę niewinność uganiających się za historią i obnażających jej nieprawości staliście się, owszem kunsztownymi, ale na sprzedaż estetami, że cała dzisiejsza literatura polska jest właśnie takim bazarem literackim?

Krzysztof Karasek

Bardzo modne jest ostatnio oskarżenie, że to inteligencja opuściła, zdradziła przemiany. Inteligencja została, że tak powiem, wyimpasowana i najbardziej to widać w ciągu ostatnich czterech lat. Przecież za upadek pism literackich i kulturalnych tygodników i miesięczników odpowiedzialni są politycy, bo w tych przemianach nagle zapomnieli o tym co im towarzyszyło i było największą podporą.

Największym zadaniem poezji jest uderzać w stereotypy, wzbudzać sumienia, poruszać, także metafizycznie w zależności od skali talentu i czasu, w którym przyszło nam żyć, ale to proza stanowi centrum literackiego istnienia tego kraju, jest takim gatunkiem, w którym naród – jak to powiedział ktoś z krytyków – ogląda się oczami własnymi najbardziej, bo w sposób trzeźwy, a w ciągu ostatnich 30 lat ukazało się w Polsce ze 30 tomików prozy. To jest tragedia. Książki są i nikt tego nie może wydać, bo jest to niezwykła finansowo sztuka. Więc to nie jest tak, że pisarze, intelektualiści opuścili arenę.

Drugą sprawą jest brak pism kulturalnych i literackich, bo pismo stworzone przez ministra Dejmka jest szyderstwem życia kulturalnego. To perspektywa straszliwa, bo właściwie ludziom pozostaje telewizja, która robi przysłowiową kaszkę z mózgu. Tygodniki w każdym systemie są pośrednikiem między masowym odbiorcą, a twórcami. W Polsce po „okrągłym stole" powstała fantastyczna liczba kwartalników o wielkim poziomie, np. Kresy wydawane w Lublinie, najlepszy moim zdaniem kwartalnik literacki, czy Tytuł gdański. Ale są to kwartalniki drukowane w nakładzie najwyżej 5000 egzemplarzy. A więc są to po prostu laboratoria. I najwspanialsze rzeczy drukowane w tych kwartalnikach nie zostaną upowszechnione, bo właśnie nie ma pism wysokonakładowych, w których byłby dział polemiczny, gdzie mogą się ścierać poglądy różnych ludzi, od lewicy do prawicy, na temat kultury i sztuki, a także zawierałyby te pisma dział informacyjny przedstawiający co się dzieje na rynku wydawniczym. Ja często dowiaduję się po pół roku o wydaniu jakiejś ważnej pozycji w Krakowie, ponieważ nie ma informacji na ten temat. Nie ma także selekcji i oceny wydawanych pozycji. Takiej ilości grafomanii jak obecnie jeszcze nigdy nie wydawano dlatego, że dawniej wydawnictwa miały dwóch recenzentów, tzw. lektorów, którzy robili pierwszą selekcję (o cenzurze nie mówię), podczas której odpadało całe grafomańskie siano.

Jeżeli nie ma pism i nie ma oceny tej produkcji, to nie ma możliwości oddzielenia plew od ziarna i młodzież interesująca się literaturą w księgarniach zastaje kompletne siano na półkach. Tworzy się niesłychana ruina życia intelektualnego i to już od szkoły. Nie ma gdzie przeprowadzić takich polemik jak np. sprawa Owsiaka, który dla mnie osobiście jest szkodnikiem po prostu, szkodnikiem życia kulturalnego w tym kraju, przy aplauzie niemal całej publiczności. A on, przy okazji zbierania bardzo dużych pieniędzy, zniszczył przez niechlujstwo języka całe dzieło, które nauczycielstwo polskie przeprowadza w szkołach. Nie jest też prawdą, że nie jesteśmy etyczni czy nie związani z historią. Obecnie sądzę, że kształt historii jest inny, nie jest kształtem literatury w stanie wojny. Poezję i literaturę łączą znacznie subtelniejsze więzy z historią, niż w okresie całkowitego konfliktu, w którym oczywistym jest, że każdy prawdziwy pisarz, poeta musi stanąć po stronie bitych, choćby nie pasowało to do jego koncepcji świata. Natomiast dziś sytuacje są znacznie trudniejsze i bardziej niejasne, bo często nie zgadzamy się w nich z najlepszymi przyjaciółmi. Miejscem dla omawiania tych zagadnień, polemik, kształtowania i sprawdzania sądów społecznych powinna być prasa tygodniowa. A nam zostały właściwie dwa tygodniki jako takie: „Tygodnik Powszechny" i „Polityka", ale nawet tam kultura jest marginesem.

Jan Musiał

Wyraził pan tutaj żal, że się te kulturalne głowy w pierwszej kadencji sejmu i senatu, że się ich kariery polityczne skończyły. Muszę pana rozczarować. To właśnie tacy panowie jak Szczypiorski, Wajda ze zrozumieniem podnosili rękę, gdy w debacie budżetowej przyszło zwiększyć rezerwę budżetową z pięciu do dziesięciu bilionów złotych, przeznaczoną na pokrycie należności w przypadku bankructwa jakiegoś banku, natomiast cmokając ze zrozumieniem skreślali dotacje na pisma kulturalne, bo przecież nie ma skąd wziąć...

Krzysztof Karasek

Właśnie, zachodziło bardzo dziwne zjawisko, że ludzie ze środowisk inteligenckich czy ściślej intelektualnych, gdy wchodzili do aparatu władzy, to następowało całkowite ich wyalienowanie. Na ogół byli to bardzo wybitni ludzie, ale w większości bez praktyki społecznej i wchodząc do polityki z powodów czysto prestiżowych dla wielu partii, nie potrafili znaleźć sposobu obrony kultury.

Józef Kurylak

Rozumiem, że historia związana jest z polityką. I nie byłoby historii, gdyby nie było polityków, którzy także wiele dobrego zrobili. Ale jeżeli polityka jest racjonalnym działaniem w określonym celu dla społeczeństwa, to poezja jest irracjonalnym marzeniem. I też wiemy jakie były pomyłki racjonalności i jakie skutki niedodziałania jakby w irracjonalnym marzeniu. Dla mnie poezja odnosi się do pewnego ideału, wyższej rzeczywistości. Polityka zapewnia warunki bytu takim jak ja, którzy mogą żyć spokojnie. Czy spokojny, czy nie, zawsze będę miał irracjonalne marzenie. Natomiast jako obywatel kraju gotowy jestem uczestniczyć w pewnych sprawach. Ale nawet w sytuacjach katastroficznych czy kryzysowych będę rozgraniczał świat marzeń irracjonalnych od racjonalnego działania. Inny jest język pana Geremka, inny jest mój, inny jest język Michnika, inny poety Grochowiaka. W historii dzieje się poezja tak, jak jej częścią jest muzyka. Ale nie jest to część polityczna. Czym jest poezja to decydują o tym sami poeci. Bo jeżeli świat jest obrazem, tak dziś fascynującym, to przyciąga pewnych ludzi, np. cywilizacja amerykańska, to poezja powinna stworzyć jeszcze bardziej fascynujące obrazy marzenia irracjonalnego, bardziej przyciągające. Tutaj zgodziłbym się z Krzysztofem, że wraca coś takiego jak szamanizm, to hipnotyzowanie obrazów irracjonalnych marzeń.

Poeci, jak obserwuję w historii literatury, dochodzą do granic takich stanów, gdzie rozważanie na tematy literackie jest nieistotne.Liczy się tylko dzieło poety, jego własne JA, które czasem jest ważniejsze od historii Polski.

Krzysztof Karasek

Mówisz o rzeczach właściwie dla literatury decydujących. Pisarzowi każdy chce wyrwać kawałek duszy: polityk, patriota, wojskowy, chce bym namawiał do marszu czwórkami. I pisarz z sumieniem od czasu do czasu daje się w to wciągnąć, ale rzadko, najczęściej w momentach, gdy ojczyzna jest w największym zagrożeniu. Wtedy pisarze, obojętnie jak hermetyczni dotychczas, obniżają swój poziom tak jak to było z poezją lat 40., pokolenia Gajcego i Baczyńskiego. Proszę się nie obawiać o literaturę polską. Jak będzie zagrożenie poważne, pisarze najbardziej hermetyczni zniżą swój poziom do takiego nawet jak w stanie wojennym: bardzo dobrzy pisarze w latach 80., tak zniżyli poziom, że z tego okresu prawie nic nie zostanie. Ale pisarz nie pozwoli wyrwać swej duszy w sytuacji normalnej, kiedy kto inny powinien robić to, na co się chce namówić pisarza. Pisarz powinien kultywować duszę ludzką, żeby społeczeństwo nie schamiało, żeby zachować naszą uczuciowość, żebyśmy nie uzwierzęcili się. Duszę można różnie kultywować, za pomocą elementów historycznych, etycznych, a mnie obecnie obchodzą elementy metafizyczne i intelektualne, ponieważ wydaje mi się, że te są w największym zagrożeniu. Jako młody pisarz chciałem zmienić życie i zmienić człowieka, dlatego należałem do pokolenia bijącego o mur w literaturze. Ale dziś uważam, że nie jest to właściwy stan literatury. Bo kultura i literatura nie mają zmieniać życia, bo zadaniem pisarza jest zrozumienie życia, zrozumienie natury, zrozumienie innych. I o tyle ja mogę zmienić życie, o ile zrozumię naturę.

Jan Musiał

Tęskniący do intelektualnej arkadii powinni wiedzieć, że był kiedyś taki ideał calokagathii, tej jedni wartości fundamentalnych, gdzie to, co piękne było dobre i prawdziwe, to co prawdziwe powinno być dobre i piękne, to co dobre powinno być także piękne i prawdziwe. Bo wartości są powinnościami, a nie stanami.

Marek Kuchciński

Krzysztof Karasek daje do zrozumienia, że obecnie nie należy oczekiwać od poetów wsparcia duchowego dla sprawy narodowej, polskiej, dla odzyskania przez nas wolności obywatelskich, ponieważ mamy już czasy normalne, że prawo jest prawem, a instytucje państwowe i zorganizowane w różne stowarzyszenia, środowiska i partie polityczne „społeczeństwo" jest tak mocne, że samo się oprze niebezpieczeństwom. Sądzę, że tak nie jest, a właściwie jest dużo gorzej, bo poprzez fałszywą propagandę obraz niebezpieczeństwa jest zakrywany tym właśnie „chamskim" konsumpcjonizmem i bezideowością. Nie jest to sytuacja normalna. Ale przyznam, że nie wiem, jak poeta czy pisarz mógłby wpływać dziś na „społeczeństwo" bez dostępu do wysokonakładowych pism i wydawnictw. A do takich mogą chyba mieć dostęp jedynie ci, którzy decydują się na różne kompromisy. Ale wówczas okrywają one hańbą prawdziwych twórców. Intelektualne przykłady takich postaw społecznych, zapisanych w historii podaje Paul Johnson w swej książce „Intelektualiści". Do czego więc może doprowadzić angażowanie się pisarzy, poetów, w politykę, gdy brak im tzw. kręgosłupa wartości, o których Jan mówił? Bo przecież nie można ich uznać za intelektualistów, w tradycyjnym rozumieniu mędrców, choć artyści pewnie za takich pragną uchodzić. Może lepiej byłoby, gdyby się nie angażowali? Oni odrzucili tradycje, z których wyrośli i rodzinne, i społeczne, i systemowe, i stworzyli nowe zasady, nowe kanony do naśladowania przez współczesne pokolenia, także ludzi młodych, jak w przypadku Sartre'a, na całym świecie. Oni wspierali totalitaryzm. A było ich tak wielu: Ibsen, Hemingway, Brecht...

Krzysztof Karasek

Ciekawym jest to, że Brecht (o czym Johnson nie wspomina) przy całym budowaniu tej dramatycznej i teatralnej machiny używał jej dokładnie, w aktach, jak w antycznym znaczeniu teatru. To była po prostu tuba ideologiczna. W latach 50., Thomson wydał książę „Ajschylos i Ateny", fantastyczną siedmiosetstronicową monografię, w której pokazuje na czym polegała wielkość Peryklesa. Ustawił on ideologicznie całą Grecję tak, że właściwie wszystkich przeciwników wykończył. W teatr włożył ogromne pieniądze, w rozwój dramatu, a potem napędzał do teatru w ten sposób, jak dzisiaj do telewizji próbuje się, bo jeszcze do tego nie doszliśmy. Perykles płacił 5 drachm każdemu kto szedł do teatru. A w teatrze grano sztuki, oczywiście świetnie napisane, tylko w delikatny sposób wekslujące w stronę poglądów odpowiadających Peryklesowi. Był on totalitarnym władcą i miał takiż umysł. Przypadek Brechta jest tutaj znaczący. On zgodził się zostać narzędziem w rękach polityków. I widział wszystko. Nie reagował na wykończenie swojej narzeczonej w Sowietach, tej Anny M., której kilka wierszy poświęca i to był jego wrzód do końca życia, bo miał możliwości, był bardzo wysoko postawionym funkcjonariuszem w tym państwie, a niestety palcem nie kiwnął. Dlaczego? Być może z tchórzostwa wewnętrznego, nie wiadomo. Wiadomo, że miał wyrzuty.

Ale od 1952/53 roku pisał świetne liryki, oprócz tych dramatów, w których uprawia ideologię ubraną w fanta-

styczne szaty dramatopisarstwa. Bo na czym polega dramatopisarstwo czy sztuka ideologiczna, a na czym nieideologiczna? Pierwsza w świetny, zawoalowany sposób realizuje programowe cele jakiejś polityki. Natomiast druga, dla mnie prawdziwa, jest nieobliczalna; nie możemy powiedzieć o czym jest dany dramat, nie możemy powiedzieć o czym jest dany wiersz. I ta wieloznaczność, ten nadmiar interpretacyjny, czy właściwie niedosyt, że nie możemy podporządkować jednej tezie, jest zawsze znamieniem wielkiej sztuki. I otóż Brecht całkowicie podporządkował się ideologii, ale zostawił sobie pewną furtkę. Była nią liryka. Jego wiersze pisane w ostatnich pięciu latach są perełkami poezji. W nich jest całkowicie personalistyczny, ideologia nie ma tam żadnego znaczenia z wyjątkiem kilku wierszy, które, żeby mu wydrukowali, dodaje. To jest fantastyczna liryka, w której osobowość Brachta widać, że nie ulega żadnemu skażeniu. W perspektywie twórczości lirycznej można ją uznać właściwie za twórczość cyniczną w tym znaczeniu, że nie jesteśmy za złem w ogóle, ale to dane zło uważamy za mniejsze niż inne zło.

Jan Musiał
Sam Pan sobie tutaj przestrogę powiedział: miłujący mądrość nienawidzą nieobliczalnych poetów.

Krzysztof Karasek
Zgadzam się. W polskiej literaturze podobny cynizm z wyjątkiem jednej książki, przedstawia Andrzej Szczypiorski. Z jego książek nie można wysnuć poglądu, że pisarz chce przedstawić rzeczywistość, nie wiedząc jaka ona jest, bo pozna ją dopiero, gdy ją skonstruuje. Bo są to rzeczy wieloznaczne i nieobliczalne. A książki Szczypiorskiego są pisane z cyniczną tezą, na której on po prostu zarabia pieniądze. Bo przecież napisane w dzisiejszej sytuacji książki o dobrym Niemcu to nie jest objaw miłości do Niemców czy dążenia do prawdy. To jest odpowiedź na zapotrzebowanie tzw. społeczne. Przeprowadza sondaż i pichci w ciągu dwóch miesięcy dwustustronicową książką, która jest od razu wydawana w Europie, w Szwajcarii w kilkunastu wydaniach. A Szczypiorski jeszcze dalej się posuwa, ponieważ napisał ostatnio książkę o dobrym hitlerowcu.

Marek Zazula
Wróćmy do wierszy. Mnie jako muzyka bardziej interesuje i cieszy, że słyszę w poezji obu naszych kolegów frazę muzyczną. Ale to już odbieram i estetycznie, i duchowo. To, o czym mówi Janek Musiał, rozumiem nieco inaczej: kiedy poeci, pisarze zaczęli prowokować społeczeństwo do wysiłku intelektualnego, robili to walcząc ze stagnacją. Wówczas padły zarzuty: panowie, zdradziliście historię. Ale wydaje mi się, że to są odgłosy zmiany epok w całej sztuce. Awangarda się skończyła, jej środki zostały wyczerpane. Teraz zaczynamy wracać do serializmu, do upiększania. Zaczynamy prowokować poprzez intelektualizm, a nie poprzez odwołanie się do historii. W muzyce do pewnego etapu był Penderecki, potem muzyka ilustracyjna z frazą serialną, i z konkretnym brzmieniem, jakby odwołująca się do czegoś, co było. Dziś myślę, że to odwołanie się do historii już minęło. Śmierć Lutosławskiego – to jest koniec ducha epoki całej. W Ameryce podobnie: śmierć Cage'a i następuje koniec epoki. Muzyka, a myślę, że i cała sztuka, przeszła na osobowości, na interpretację. Osobowość umiera, kończy się epoka. Jest tutaj jakaś zależność. W muzyce mamy szereg nieprawdopodobnych interepretacji w ciągłym poszukiwaniu. I co się okazuje? Mamy bardzo wielu wykonawców muzyki dawnej, klasycznej, romantycznej, postromantycznej, współczesnej, wielu genialnych wykonawców a muzyka stanęła. Przeszliśmy na interpretacje. Ilu to mamy cudownych wykonawców chorału przedgregoriańskiego, chorału ambrozjańskiego, muzyki greckiej, nie mówiąc o chorale gregoriańskim, który świetnie wykonują już nawet zespoły amatorskie w jakimś np. Saint Lee Mogne, czy u benedyktynów hiszpańskich, którzy nagrywają swoją muzykę na taśmy i płyty, i okazuje się, że są to arcydzieła. Powrót do gry na starych instrumentach – to wszystko zupełnie zmienia muzykę. U nas to się dopiero rozwija, a na Zachodzie to trwa od 30 lat i powstaje cudna muzyka, chociażby z Gardinerem czy chórem Monteverdiego. A więc myślę, że aby pozostały efekty tej wielkiej przemiany, trzeba zostawić twórców samym sobie. Oni intuicyjnie niech zabarwiają nasze życie swoją twórczością, politycy niech zajmują się polityką, a nauczyciele niech porządnie uczą młodzież, by mogła, by potrafiła odbierać tę wielką, głęboką sztukę.

Krzysztof Karasek
Im bardziej artysta się rozwija, tym bardziej jego sztuka statycznieje. Otóż ideałem sztuki jest sztuka statyczna. Człowiek młody uprawia sztukę dynamiczną. W pewnym momencie dochodzi do poziomu wymagającego dalszego rozwoju, a rozwój w sensie dynamiki został już dokonany i następuje moment, w którym można iść tylko w głąb. Jednakże wówczas zaczynają się subtelności niezrozumiałe dla 3/4 czytelników i słuchaczy. Sądzę, że nasza epoka weszła w taką estetyczną sytuację i dopóki był ruch, każdy go widział, ale kontemplacja jest niezauważalna. Malarstwo świetnie nam to pokazuje: że ideałem sztuki jest nieruchomy obraz. Najwyższa sztuka jest sztuką kontemplacji, dlatego artyści zajmują się religią i teologią. Przeżycie kontemplacyjne, nawet świeckiego obrazu, natury Friedricha jest bardzo bliskie przeżyciu religijnemu.

Krzysztof Karasek. Poeta. Mieszka w Warszawie.

Fragmenty dyskusji podczas spotkania autorskiego (rozmowa nieautoryzowana).

Roger Scruton

MYŚLI KONSERWATYWNE – WPROWADZENIE

Od momentu swego powstania „The Salisbury Review" było zawzięcie szykanowane. Jeden ze współpracowników, Ray Honeyford, zmuszony został do rezygancji z urzędu dyrektora Bradford School, z powodu artykułu, który opublikował w niniejszym zbiorze. Innego współpracownika poddano bezprecedensowej kampanii zastraszania, pracodawca „sądził" go pod zarzutem „rasizmu", uznał niewinnym, a i tak odebrał mu prawo powrotu do dawnej pracy. Kilku naszych współpracowników wycofało swoje artykuły z lęku przed podobnymi prześladowaniami. Redaktor naczelny nie może już publicznie przemawiać w brytyjskich uniwersytetach, bez narażania się na ryzyko bycia zarzuconym kłopotliwymi pytaniami, bycia zastraszanym lub poddawanym atakom agresji. Wielu naszym współpracownikom cofnięto zaproszenia stypendialne w szkołach i na uniwersytetach: pewien naukowiec węgierski został wyraźnie ostrzeżony przez wpływowego wykładowcę z Oxfordu, że jeśli życzy sobie uzyskać pozycję stypendysty na tym uniwersytecie to powinien być bardzo ostrożny i nie publikować w „The Salisbury Review". Nawet „Times Higher Education Supplement" uważał za stosowne zamieścić w swoich felietonach ogólne ostrzeżenie przeciwko „Review", gdy tymczasem lewicowe periodyki – New Statesman, Searchlight, Granta i wiele innych – wygłaszały niekończący się potok oszczerczych tyrad przeciwko zjawisku, które jawnie przewyższa ich możliwości intelektualne. Opozycja doszła do stanu takiej histerii, że w The Guardian i innych pismach pojawiły się plotki, jakoby pewien socjalistyczny pisarz, którego edukacyjne publikacje stanowiły źródło lukratywnego dochodu dla naszego byłego wydawcy, zagroził mu, że wycofa się ze współpracy z nim o ile ten natychmiast nie zaprzestanie wydawania „Review". (Ostatecznie wydawca zerwał kontrakt z nami, dodając jednocześnie, że plotki nie miały uzasadnienia.) W tym samym czasie The Guardian zamieścił dosyć zabawny list, którego autor argumentował, iż mimo że „The Salisbury Review" jest wyjątkowo pogardy godnym czasopismem, to stosowanie wobec niego środków przymusu i nagonki w celu wyciszenia opinii w nim zamieszczanych jest niedozwolone, gdyż prawo nie zabrania ich publicznego wygłaszania. Ponieważ opinie wyrażane na łamach „The Salisbury Review" są prawie takie same jak te, które głosi partia trzy razy z rzędu powołana do rządzenia krajem, pocieszającym jest fakt, że prawo w dalszym ciągu pozwala na ich wygłaszanie.

Jakkolwiek to, co jest dozwolone przez prawo, nie zawsze dozwolone jest przez uniwersytet lub politechnikę, gdzie osoba znana z publikowania w „The Salisbury Review" naraża się na poważne ryzyko ostracyzmu. Wielka Brytania w ciągu ostatnich kliku lat była świadkiem powstania zupełnie nowej instytucji, którą można określić mianem: intelektualny proces pokazowy. Ofiara takiego procesu, to członek konspiracji o nazwie Nowa Prawica, skoncentrowana wokół „The Salisbury Review". Stawia się ją przed trybunałem, którym jest samozwańcza rada złożona z lewicowych intelektualistów, zgromadzonych w jakimś prestiżowym miejscu akademickim. Oskarża ona ofiarę o dopuszczenie się Wielkiej Zbrodni, wydając z miejsca wyrok skazujący. Wielka Zbrodnia określana jest różnymi imionami – nacjonalizm, szowinizm, faszyzm, Nazizm i (najpopularniejszy ze wszytkich) rasizm. Tak często tutaj przywoływany rasizm to „rasizm obiektywny" – odmiana rasizmu, który nie wymaga poczucia winy i nieczystego sumienia od przestępcy. Ofiara złapana w kleszcze takich oskarżeń, nie ma szans na żadną obronę i nikt nigdy nie wzywa jej aby cokolwiek w swojej obronie przedstawiła. Wystarczy zostać oskarżonym o Wielką Zbrodnię przez wysoko cenionych lewicowców, aby wina została bezspornie ustalona.

Jeden z takich pokazowych procesów miał miejsce latem 1985, i odbył się pod auspicjami British Association for the advancement of Science. Zgromadzeni wokół niego socjologowie zwołali specjalne posiedzenie w celu wyrażenia swego „rosnącego niepokoju", które-

go źródłem jest wstrętne zjawisko, czyli Nowa Prawica w wydawaniu „The Salisbury Review". Wynikiem tego spotkania było oświadczenie i wzajemne się zapewnienie wszystkich tam zebranych, że ani jeden dystyngowany socjolog od czasu jego „nawrócenia się" na sposób myślenia Nowej Prawicy, nie wydał żadnej wartościowej publikacji. Innymi słowy, „The Salisbury Review" zbliżyła się do możliwości stania się potencjalnym zagrożeniem, lecz zupełnie jej się to nie udało. Niemniej jednak, podczas tego właśnie spektakularnego procesu „Review" poza generalnym oskarżeniem o niekompetencję akademicką, oskarżone zostało również o dopuszczenie się kilku szczególnych przestępstw – włącznie z dziwacznym „rasizmem naukowym". Oskarżenia o niekompetencję intelektualną wolno nam było się spodziewać, skoro do naszych współpracowników należą takie miernoty umysłowe jak F.A. Hayek, C.H. Sisson, Anthony Flew, Jeanne Kirkpatrick, Vaclav Havel, Hugh Lloyd-Jones, E.J. Mishan, Mary Lefkovitz, P.T. Bauer, Patrick Reynties i W.H.R. Wade. Bez względu na to co wszystkie te uwagi i oskarżenia pod naszym adresem miałyby znaczyć, są one znakiem, że żaden autor piszący dla Review, nie ma szans na promocję w kręgach brytyjskiego departamentu socjologii.

Od tamtego czasu odbyło się wiele innych procesów pokazowych. Jednym z bardziej charakterystycznych i interesujących był chyba proces zaaranżowany przez Runnymede Trust, który miał miejsce niemal w tym samym czasie co spotkanie w British Association. Miejscem jego przeprowadzenia był All Souls College w Oxfordzie, a sprawozdanie z niego opublikowane zostało w 1986 roku. Szczegółowe oskarżenie sformułowane zostało tym razem przez Alana Ryana – oxfordzkiego wykładowcę polityki – którego snobistyczne ataki na konserwatyzm pojawiają się regularnie na łamach wielu tygodników. „Jedną z rzeczy traktowanych okrężnie przez „The Salisbury Review" pisał Ryan „jest antysemityzm. W latach dwudziestych naszego stulecia nie wzdragałby się przed tym. Radośnie pisałby o żydowskiej finansjerze i parchach...". Ta podwójna potwarz – która do oszczerstwa o antysemityzm dodaje, że piszący do Review autorzy są w obecnej sytuacji politycznej i społecznej zbyt tchórzliwi, aby swój antysemityzm jawnie głosić – jest dobitnym suplementem kryminalnej działalności o jaką jesteśmy oskarżani. Poprzez takie oświadczenia postanawia się, że w bardziej sprzyjającej atmosferze lat dwudziestych (bazując na ich dobrowolnym drukowaniu w „The Salisbury Review") David J. Levy, Sally Shreir, Don Jacobson, Julian Lewis, Basil Yamey i wielu innych wygłaszaliby trujące slogany, które później doprowadziłyby do zniszczenia ich rasy.

Zbrodnia „The Salisbury Review" ma charakter dwupłaszczyznowy, po pierwsze argumentuje ono swoją postawę na poziomie intelektualnym, do którego konserwatyści nie są uprawnieni; po drugie poważnie traktuje idee kontynuacji społecznej, tożsamości narodowej oraz tradycji, od których zależy trwały związek polityczny. Obydwa zarzuty są wyjątkowo poważne. W czasach kiedy wszystkie autorytety pochodzą z lewego skrzydła, a tematy akademickie ustanowione są na bazie założeń lewicowych, prowokacyjnym musi się wydać poddanie tych autorytetów jak i założeń, intelektualnemu kwestionowaniu. A kiedy poważny dziennik, użycza swego poparcia ideom tożsamości narodowej – innymi słowy, kiedy intelektualiści dołączają do żądań motłochu, które (co każdy socjolog wie) są przez implikację „rasistowskie" – wówczas świat przekroczył już granicę żałosności.

Przedruk z: Conservative thoughts: Essays from „The Salisbury Review", London and Lexington 1988.

Tłumaczył: Andrzej Żuromski

Roger Scruton. Profesor estetyki na Uniwersytecie Londyńskim. Wydawca kwartalnika „The Salisbury Review"(1983-1995). Gościł na Strychu Kulturalnym w 1988 i 1990 roku.

R.A.D. Grant

POLITYKA ŚMIERCI

Und so lang du das nicht hast,
Dieses: Stirb und werde!
Bist du nur ein trüber Gast
Auf der dunklen Erde.
Goethe

Jeśli życie nie posiada żadnej wartości, wówczas równie dobrze możemy być nieżywi. Niektóre śmierci sugerują, że nawet lepiej byłoby dla nas, gdybyśmy byli martwi. Tym samym śmierć nie musi być najgorszą z rzeczy, których powinniśmy się obawiać. Przypuśćmy jednak, że to śmierć jest tym, co w pierwszym rzędzie okrada życie z wartości? Albo przeciwnie, przypuśćmy, że życie jest cenne tylko dlatego, bo jego trwanie jest nieograniczone? Pytania te nie posiadają odpowiedzi dopóty, dopóki jasno nie określimy naszego rozumienia pojęć: „życie", „śmierć" i „wartość".

Każde zastosowanie słowa śmierć zawiera w sobie pojęcie odpowiadające koncepcji życia, które ona powstrzymuje. Na poziomie organicznym, życie i śmierć są po prostu, używając języka Nietzschego, głupimi faktami fizjologicznymi, które ani nie posiadają żadnej wartości, ani nie wywołują grozy. W odróżnieniu od zwierząt, my nigdy nie doświadczamy organicznego istnienia w jego czystym stanie; podobnie jak wszystko inne dosięga nas ono tylko przez filtr samoświadomości. Tym samym fakt, że ma ono dla nas jakiekolwiek znaczenie, jest tylko wstępnym, ziemskim warunkiem samoświadomości. Nawet jednakże samoświadomość nie jest celem samym w sobie. Bo gdyby nim była, to nie istniałoby ani samobójstwo, ani samopoświęcenie, ani w rzeczy samej spokojna akceptacja śmierci. Tym czego obawiamy się, nie jest więc śmierć biologiczna jako taka. I to co ma dla nas znaczenie, to nie samo psychiczne utrzymanie się przy życiu, lecz życie pełne sensu, wypełnione treścią. Nasza samoświadomość poszukuje spełnienia poprzez transcendencję, a czasami również poprzez wykluczenie zwykłego utrzymania się przy życiu tu, lub być może gdziekolwiek indziej.

Jakkolwiek „sens życia" brzmi pretensjonalnie, zawsze pozostaje tylko figurą stylistyczną. Każda rzecz posiada znaczenie tylko wówczas, gdy można ją odnieść do czegoś innego i tylko tam gdzie istnieje obserwator zdolny pojąć tę relację (i w przypadku życia, brać w nim udział). Tak więc przyczyna, produkt, składnik i symbol, kiedy tak pojmowane, wszystkie są rodzajami sensowności. Są tacy, którzy sądzą, że życie jako całość ma sens tylko w odniesieniu do jakiegoś pozaludzkiego porządku i że bez takiego założenia, także życie indywidualne nie ma żadnego sensu. Jednym z krzewicieli takiego spojrzenia jest religia, znaczenia jej nie da się tutaj przecenić. Choć jej istota leży poza zasięgiem obecnych dociekań (być może, jak uważał Kant poza zasięgiem jakichkolwiek dociekań) ma ona, bez względu na prawdę jaką przekazuje, zdecydowanie najbliższy związek z obecnym tematem. W ostatnich czasach religia znalazła przeciwnika w czymś, co określa się mianem „pozytywizm", viz. źle zastosowaną nauką. Przyciąga on naszą uwagę tylko dlatego, że ciągle pozostaje głównym dogmatem współczesności. Jest on swego rodzaju parodią porządku politycznego, w rzeczy samej naśladownictwem tego porządku (chociaż osobiście wolałbym go nazywać kosmicznym masochizmem). Pozytywista, poprzez swoje uzależnienie od prawa naturalnego, czuje się spokrewniony z całą społecznością przypadków organicznych. Tylko że takie spojrzenie (jak wcześniej sugerowałem odnośnie istnienia organicznego) jest całkowicie błędne. To nie „on sam" jest poprzez to podmiotem lecz jego ciało; a jego ciało nie jest w stanie „widzieć siebie" jako bycie czymkolwiek, bardziej niż mogą to robić inne naturalne przedmioty. Zanim pozytywista jasno i dokładnie nie określi związku pomiędzy jego samoświadomością a jego tożsamością biologiczną (a być może nawet jeszcze nie wtedy), nie mamy żadnego powodu, aby traktować go poważnie. Wezwanie pozytywizmu nie jest racjonalne lecz emocjonalne i prawdopodobnie jest odpowiedzialne za przeogromne zbrodnie polityczne naszego stulecia. Ponieważ oferując nam jako osobom uwolnienie się od naszego istnienia , pozytywizm uwalnia

nas także od towarzyszących takiemu naszemu istnieniu obowiązków (i praw).

Życie indywidualne nie posiada oczywiście żadnego sensu, bez bezpośredniego odniesienia do społeczności osób, to znaczy społeczeństwa. Wzajemne oddziaływanie na siebie zwierząt jest do pewnego stopnia ekonomiczne: składa się na nie wymiana funkcjonalnych konieczności wraz z zakodowaną w precyzyjnym i sztywnym sygnalizatorze informacją, konieczną dla jej ułatwienia. W odróżnieniu od tego, przedmiotem kultury jest wytwarzanie tożsamości osobowych. Nie tylko jest ona nie do pomyślenia bez obecności języka, ale sama w sobie jest językiem, którego prawdziwe znaczenie nie leży w praktycznym stosunku (jeśli w ogóle) wypowiedzi, które zawiera, ale we wzajemnym samorozpoznawaniu się korzystających z niego użytkowników. Rozumienie siebie samego i bycie rozumianym, to po prostu dwie różne strony tej samej monety. Każde jest tak żywotną potrzebą ludzką jak fizyczne utrzymanie się przy życiu. Jeżeli ktoś w to wątpi, proszę tylko przyjrzeć się komuś całkowicie wyalienowanemu (którego na domiar trzeba jeszcze przekonać o nieistnieniu indywidualnego języka) jak uparcie narzeka, że nikt go nie rozumie.

Ta analogia lingwistyczna, a jest ona oczywiście czymś więcej niż jakąś tam analogią, tkwi w sercu myślenia konserwatywnego. Jeżeli rozumienie siebie i innych jest żywotną potrzebą i jeśli jest to możliwe tylko w zakresie form kulturowych, to znaczy że formy owe muszą być zachowane; podtrzymywanie ich nie może być sztywne, musi zachować odpowiednią ciągłość pomiędzy wytworami istotnymi dla życia ludzkiego i wszystkim co się w nich zawiera, poza ich doczesnymi ograniczeniami, dla osiągnięcia spójności i stabilności. Nawet jeśli formy te nie byłyby zagrożone politycznie, wątpliwe jest czy w zupełności dałyby sobie radę z samodzielnym utrzymaniem się przy życiu. W związku z tym dzieje się tak, że gdziekolwiek autorytet kulturowy najbardziej potrzebuje wsparcia, tam wkracza bardziej emfatyczny autorytet, aby go dostarczyć, wnika on wówczas w najintymniejsze regiony życia, takie jak: miłość, seks, rozpacz (autorytetem takim może być Państwo albo Kościół, szczególnie w Europie Wschodniej, gdzie Państwo ma władzę, ale nie posiada autorytetu – pisane w 1987 roku – przyp. tł.). Marksiści oczywiście spojrzą na to jako na jeden ze sposobów, poprzez który „władza" poszukuje legitymizacji. Konserwatyście pozostaje tylko odpowiedzieć, że takie wtargnięcia, nawet jeśli powyższe jest prawdą, odpowiadają z dużym sukcesem prawdziwej potrzebie, działają w wyniku faktycznego zaproszenia i przez samo to już są uprawomocnione. Prawomocność jest nie mniej sobą poprzez zwyczajne posiadanie historii.

Kultura wymaga wzmocnienia przede wszystkim tam, gdzie zachodzą najgłębsze kryzysy ludzkiego życia. Kryzys pojawia się wówczas, gdy spokojne, samodzielne cele ludzkie zostają przerwane lub zrównane do zera w wyniku wydarzenia, którego człowiek nie jest w stanie pojąć i widzi w nim działanie jakiejś obcej „siły". Takimi wydarzeniami mogą być naturalne tragedie lub (co często jest tym samym) raptowne wtargnięcia naszej konstytucji biologicznej, jak choćby nieuleczalna choroba, śmierć lub seks. Rzucają one osobnika w wir wewnętrznego wrzenia. Inni cierpieli z powodu kryzysów (myśli ktoś), ale nie cierpieli „mojego", więc jakże mam spodziewać się po nich prawdziwej, płynącej z serca sympatii? Uczucia podobne do tych odizolowują przedmiot od niego samego i od jego kultury. Przerywają łańcuch wzajemnego zrozumienia, dając pole fantazji i tym samym pogłębiając jeszcze bardziej już istniejącą wyrwę. Tym samym nie istnieje chyba żadne tradycyjne społeczeństwo, które nie otaczałoby takich przypadków regułami i rytuałami, zalecając nie tylko co w takich okazjach powinno się czynić, ale także co powinno się czuć. W prymitywnych społecznościach autorytety kulturowe i polityczne nie są od siebie odróżnialne. W samej swojej istocie nie są one także rozróżnialne w naszym społeczeństwie: i jest to wyrazem ich prawomocności. Tylko że u nas obecność Państwa podczas kryzysu jest w znacznym stopniu (choć nie całkowicie) symboliczna. Przez swoją obecność państwo zapewnia osobę dotkniętą kryzysem, że wszyscy o niej pamiętają, że wciąż jest obywatelem (i pozostanie nim nawet w chwili śmierci) oraz że rozporządzenia odnośne kultury są poprawne. W ten sposób Państwo i Kultura, ręka w rękę, niewidzialnie jednoczą się tutaj w formalnym związku, aby wybawić cierpiącego z jego samotności, przywracając go rzeczywistości, społeczeństwu i samemu sobie.

Niedola, w odróżnieniu od radości, jest zasadniczo przeciwna społeczeństwu. Możliwym jest wynagrodzenie niesprawiedliwości, ale nieszczęście można jedynie pocieszyć. W chwili, gdy brakuje gotowego pocieszenia, nieszczęście wywołuje tajemnicze poczucie winy. Jak, zapytuje ofiara, powinienem poradzić sobie z konsekwencjami, które były przeznaczone dla innych? Być może mogłem się tego ustrzec. A może jestem za coś ukarany? Każde byle jakie wyjaśnienie jest lepsze niż żadne. Najsłodszą ulgę ze wszystkich daje mi jednak tłumaczenie mego nieszczęścia uniwersalną niesprawiedliwością i przerzucenie w ten sposób winy na innych. Kiedy rozglądam się za wrogami, niewykluczone, że jakiegoś sobie znajdę. Wróg mój tym samym musi być ukryty lub abstrakcyjny; powiedzmy jakiś zły duch, albo system. Możliwym jest również, że ci których wybiorę, są tak wyraziście niewinni, że na pewno są niczym innym niż obłudnikami o niezwykłej przebiegłości; nieraz są nawet przebiegli do tego stopnia, że ukrywają swoją winę przed samymi sobą, aby tym lepiej oszukać mnie i innych. Tylko że mnie nie uda się im okpić... i tak dalej. Koszmary jak te znane są z antropologii oraz z domu wariatów, niemniej jednak swobodnie żyją one w naszym społeczeństwie. Zła wola oraz chowanie urazów to najskuteczniejsze metody społecznego działania i tak długo nie przepuszczają one swoich okazji, jak długo naturalne nieszczęścia będą miały miejsce. Nigdy też nie zabraknie legionu malkontentów chętnych aby wypróbować je w praktyce, budząc je z niewinnej drzemki pod stęchłym kocem (jak nazywał to Barthes) „ideologii burżuazyjnej".

Z buntem można sobie poradzić, niektórym nieszczęściom można zapobiec. Żadne rozumne społeczeństwo nie zaniecha działania w interesie przezorności i sprawiedliwości. Nie istnieje jednak taki tryb postępowania, który dotarłby do serca sprawy, a jest nim zapewnienie efektywnej i trwałej pociechy. Do tego celu potrzebne są dwa współzależne elementy: wyjaśnienie autorytatywne i zapewnienie emocjonalne. Zarówno zdrowy rozsądek jak i religia utrzymują, że nieszczęście jest rzeczą naturalną i nieuniknioną (oczywiście jest ono tym bardziej nieuniknione w chwili kiedy już się wydarzyło), albo że jest wolą Boga. Oba twierdzenia są całkowicie niewytłumaczalne, przez co nie służą one bezpośredniemu wyjaśnieniu, a raczej wyprowadzeniu łatwiejszych, niemniej jednak fałszywych i zabobonnych możliwości. Każde z osobna „funkcjonuje" jako wyjaśnienie, daje tym samym wytchnąć umysłowi poprzez ukazanie decydującej i niepodważalnej prawdy, według której nieszczęście jest przypadkiem wynikającym z „niczyjej" winy. Wszystko co pozostaje to przedstawienie nieszczęścia jako symbolu naszego wspólnego człowieczeństwa i okazji jego doświadczania. Przedmiot cierpień może wówczas postrzegać je nie jako coś co dzieli, a przeciwnie jako coś co na nowo łączy go ze światem. W konsekwencji wzmaga to rozumienie kultury, a cierpienie uodparnia się przeciwko swym własnym niszczącym konsekwencjom. Cele powracają do ich wspólnej przejrzystości. W społeczeństwie zjednoczonym przez zaufanie, urazy i podejrzenia zduszone są w zarodku przez rzeski realizm i silne poczucie tego, że są one zbędne. Jednocześnie obydwa te elementy sprzyjają atmosferze szacunku dla samego siebie, który osobie cierpiącej lub poniżonej przez tragedię tak bardzo jest potrzebny.

Śmierć, jak już wspomniałem, nie musi być najgorszym nieszczęściem spadającym na człowieka, lecz w kolejności nieszczęść jest zdecydowanie na drugiej pozycji. Chociaż kolektywnie jesteśmy w stanie przeciwstawić się bezsensowności i ją usunąć, to nawet kolektywnie nie możemy przeciwstawić się śmierci. Zwróćmy uwagę jakim szokiem jest śmierć w pierwszym rzędzie dla naszego egoizmu. Przyzwyczajeni do sprawowania pewnej kontroli nad biegiem naszych spraw, w obliczu śmierci stajemy się zupełnie bezsilni. Rodzina, która jest na moim utrzymaniu, wraz z moją śmiercią traci dotychczasowe dochody finansowe oraz płynące z tego udogodnienia. Moi koledzy tracą pewien element ich własnego życia jakim byłem ja jako cel niewinnych żartów lub przemyślnej złośliwości. Co do mnie, to moje aspiracje osiągnięcia szczytów duchowych, odchodzą wraz ze mną w niebyt. Stałem się po prostu grudą bezużytecznej materii, którą tak naprawdę zawsze byłem. Nawet fizyczne niewygody umierania (z którymi pewnie dałbym sobie radę, gdybym tylko wiedział, że z tego wyjdę) przytłaczają mnie przypomnieniem tego, do jakiego stopnia jestem zakładnikiem mojego potępionego ciała, kiedyś źródła i przewodnika wszystkich moich przyjemności.

Ciałem czy nie, wciąż dla siebie samego pozostaję obiektem umysłowym. Co stanie się z tym „ja" i dlaczego wszystko to przydarza się właśnie „mnie"? Takie egocentryczne pytania zawsze były i są do dzisiaj początkiem każdej poważnej refleksji nad śmiercią. Udręka Tołstojowego Iwana Illicza wynika z jego niemożności spojrzenia na siebie inaczej niż tylko pod kątem kartezjańskim, to znaczy od wewnątrz. Bohaterowie Homera nigdy w ten sposób nie cierpieli, poszukiwali oni jedynie honorowej śmierci, bez względu na to, gdzie była ona im pisana. Iwan Illicz stwarzał pozory przez wzgląd na siebie samego, gdzie bohater Homera unika hańby i poszukuje chwały dla cnoty samej w sobie. Bohater homerycki jest obrazem samego siebie, a jego „dusza" jest „zbawiona", wyłącznie przez honorową akcję, a nie jej konsekwencja; nie dostosowuje się on, z zachowaniem środków ostrożności, do jałowych wymagań samolubnego i głupiego społeczeństwa w jakim żyje Iwan Illicz, tylko dramatycznie utożsamia się ze wspólną moralną perspektywą, z którą publiczność i aktor są jednakowo związani, i poprzez którą każdy widzi samego siebie. Wizja taka częściowo ogarnia Iwana Illicza w ostatnim momencie, kiedy pojmuje on konieczność miłowania, uczucia, które w cudowny sposób uwalnia go z kartezjańskiego więzienia i lęku przed śmiercią. Jednakże dla nas, którzy nie jesteśmy bohaterami homeryckimi, owa wynikająca ekskluzywnie z pierwszej osoby perspektywa, jest w nie mniejszym stopniu powodem lęku, ponieważ zwyczajnie jest fałszywa. Cóż bowiem straszniejsze jest od lęku przed duchami, szczególnie tymi, które, mówi się, że nawiedzają maszyny?

Tyle o egoizmie. Większość z nas oduczyła się bycia osobą całkowicie samolubną. Tam gdzie jest miłość, a jej obiektem istota śmiertelna, tam też musi pojawić się rozpacz. Kiedy umieram, rozpaczam w równym stopniu co ci, którzy po mnie pozostają, gdyż ja również muszę się z nimi rozstać. Więcej, ja rozpaczam z powodu ich rozpaczy, a oni tym samym rozpaczają ze względu na moją rozpacz i tak w koło. Odczuwam irracjonalne wyrzuty sumienia z powodu bólu jaki im zadaję, szczególnie, że ich żal do mnie, w jakimś stopniu zdaje się to potwierdzać. Nawet kiedy próbują go skrywać, ja to w nich widzę lub przynajmniej mi się tak wydaje.

Być może oni postrzegają swą rozpacz niejasno jako karę za miłość, którą mnie obdarzają i nienawidzą mnie za miłość, którą do tej pory rozporządzałem. Może mieć miejsce brzydka scena: ktoś bliższy im niż mnie – powiedzmy szwagier – burknie do mnie w ten sposób: „na

miłość boską, czemuż ty człowieku wreszcie nie umrzesz i nie oszczędzisz im tego cierpienia!". Śmierć, podobnie jak wir, wciąga każdego w swoją, coraz to zwężającą się, spiralę przeplatających się wzajemnie miłości, nienawiści i winy, uczuć tak beznadziejnych i chwytających za serce, jak bezowocnych i absurdalnych z drugiej strony. Powodem tego jest zagubienie emocjonalne, które będąc trującym i niewidzialnym, zatruwa wszystko dookoła siebie. Takie konflikty powstają głównie w środowisku domowym. Niemniej ograniczenie ich zasięgu lub jeśli to możliwe zapobieżenie im jest nie tylko ludzkim obowiązkiem, lecz także koniecznością polityczną.

Naczelną potrzebą jest tu pojednanie; można by rzec przebaczenie. Jeżeli tylko umierający i żyjący potrafią pogodzić się z samymi sobą, jak również z każdym z osobna, to żyjący tym samym pogodzą się ze swoją własną śmiercią: lecz tylko w takim stopniu, w jakim wierzenia i praktyki zachowały swą ważność. Umierający musi czuć, że żyjący wypełniają wobec niego swoje obowiązki, a pozostający przy życiu muszą czuć, że umierający wypełnił swój obowiązek wobec nich. Spontaniczne przebaczenie jest możliwe, lecz gdyby się na to liczyło wówczas jego potrzeba nigdy by nie wystąpiła. Tylko obiektywny autorytet może utrzymać kulturę wbrew czasowi i sceptykom, i tylko obiektywny autorytet może zatwierdzić przywrócenie zaufania, które wydaje z siebie kultura. W rzeczy samej, jeśli nie potrafi on tego uczynić to nie jest ani obiektywny, ani autorytatywny.

Zaangażowanie państwa w sprawę śmierci jest daleko idące. Jak daleko pokazuje choćby fakt, że bierze się je za sprawę oczywistą. Jest to odpowiedzią na naturalne żądania przepisów, które regulowałyby publiczne wykonawstwo naszych moralnych instytucji. Państwo jest władne w pełni prawa odebrać człowiekowi życie, lub skłonić go w czasie wojny do narażenia swego życia na niebezpieczeństwo (zgodnie z zasadą, według której, chociaż człowiek zawdzięcza swą biologiczną egzystencję naturze, to społeczeństwu i jego organowi Państwu, zawdzięcza swoje życie jako osoba). Rozmaite akty prawne regulują procedurę pochówku człowieka, bez względu na preferencje poszczególnych osób – łatwo sobie wyobrazić lubieżne szaleństwa, jakie preferowałby zepsuty moralnie Lord Rochester – ciałem ludzkim należy rozporządzić w sposób przyzwoity i układny, a wszelkie niegodne formy pozbywania się go, jak również utrudnianie czy przerywanie ceremonii pogrzebowej lub wygłaszanie obraźliwej mowy jest nie tylko naganne moralnie, ale stanowi też przestępstwo ścigane przez prawo. Gdy człowiek umiera, prawo stoi na straży i dopilnowuje, aby spełnione zostały życzenia odnośnie dyspozycji jego własnością. Teraz wola osoby i Państwa są jednością w sposób bardziej oczywisty niż była kiedykolwiek za życia. Jeżeli umierający jest wielkim człowiekiem wówczas identyfikacja woli ma charakter niemal dramatyczny. Wielki człowiek żyje w Państwie, umiera w Państwie i robi mu się Państwowy pogrzeb. Jego indywidualność jest opłakiwana nie jako prywatna lecz publiczna wartość duchowa, jego pogrzeb jest okazją dla osobistej rozterki każdego obywatela, co stanowi potwierdzenie przynależności do wspólnoty. Stojąc na straży wszystkich swoich zmarłych, wielkich czy małych, Państwo odmładza swoje życie jak również swoich poddanych.

Bez względu na widoki jakie mają w innym świecie, umarli „przeżywają" własną śmierć poprzez pustkę, choćby najmniejszą, jaką po sobie pozostawiają. W wyniku czci oddanej jego życzeniom, jego pamięci i jego zwłokom, umarły zdobywa szacunek, na który gdy żył być może nie bardzo sobie zasłużył. Jest to również rodzaj przebaczenia. Wystarczy tylko że żył, że ktoś go kochał i że (bez względu co o tym myślał) należał do swego społeczeństwa. Chociaż za życia wszyscy nie są równi, po śmierci każdy nawet najpodlejszy posiada godność. (Barbarzyństwem kary śmierci, takiej jaką znamy, było niegodne traktowanie zwłok wskazujące, że nawet pokutujący przestępca jest bezwartościowy.) We wspólnej zgodzie co do tego faktu, pogrążeni w żalu łączą się ze społeczeństwem za każdym razem od nowa. To, że umarły posiada tę obiektywną „wartość" jest tym samym co stwierdzenie, że śmierć otoczona jest moralną aureolą, która rzuca swe promienie na życie, oddając jej takie honory.

Zwyczaje żałobne, bez ustawowego poparcia, popadły, w prawie zupełną bezużyteczność. Nie zmniejszy to jednak ich rangi, a ich prawny stan zawieszenia jest w znacznym stopniu godny ubolewania. Jeszcze w naszym stuleciu zachowały się kalendarzowe okresy żałobne i wiernie były przestrzegane w kwestiach ubioru i spotkań towarzyskich. Pożytek jaki płynął z nich dla żałobnika, to ciągłe przypominanie mu o poprawnym zachowaniu, o tym co, jak i kiedy było odpowiednie oraz zmuszanie go do życia zgodnego z przyjętym kanonem, co pozwalało zmniejszyć rozmiar rozpaczy, w której w innych okolicznościach byłby się całkowicie pogrążył. Strój żałobny, choćby tylko opaska ramienna, wywoływał czułą troskę nawet u obcych: przychylne skinięcie głową, delikatne zapytanie, miękki, wydłużony, czasem oburęczny uścisk dłoni. Całkowicie udaremniało to okropne „faux pas" tak pospolite współcześnie. „Współczuję" mówił świat bezszelestnie „chociaż nie znam ani ciebie, ani tego po kim nosisz żałobę, nie do mnie należy wyszukiwanie jego zasług. Wystarczy mi w zupełności, że był on wartościowym człowiekiem dla ciebie. Twój żal stanowi o wartości obiektu żalu, a w rezultacie o twojej wartości. Rozpoznając roszczenia twojej rozpaczy aprobuję tę miłość, a tym samym miłość jako taką". Rozgłos przynosi rozpaczy ulgę, dokładnie dlatego, że jej ulega. Wyrazy sympatii wzmagają także wdzięczność żałobnika, smutek rozpoznany przyspiesza swój własny kres i na nowo ustanawia świat jako miejsce przyjazne. Formalność, która topi wszystkie formal-

ności ratuje przed zapomnieniem i obojętnością te najbardziej przypadkowe znajomości.

Wynika z tego, że rozpoznanie smutku równe jest rozpoznaniu śmierci; rozpoznaniu śmierci jako okazji do miłości; odwróceniu miłości osobników poza jej wyłączność, porzuceniu wszystkich skojarzeń identycznego jasnego charakteru konieczności. Zrodzone w samotności uczucie przechodzi w znaczenie. Wszystko to jednak uległo już zmianie. Brutalizacja współczesnego życia – barbarzyńskie maniery, pozbawiona wyobraźni ślepota w stosunku do uczuć innych, nawet niczym nie motywowana przestępczość i przemoc – na pewno rzeczy te łączą się w jakiś sposób z upadkiem szacunku dla rozpaczy. Upadek ten ściśle się wiąże z naszym współczesnym przeczuleniem na punkcie uczciwości, które mimo iż samo jest formą brutalności to w pojedynkę zbyt słabo jest wyposażone, aby poradzić sobie z potężniejszymi przejawami samego siebie. To nasze przeczulenie troszczy się nie o cierpiącego, ale o własne swoje zakłopotanie w momencie konfrontacji. Wolałoby po prostu nie wiedzieć.

Odpowiednio do tego nastawienia, śmierć jest izolowana. Zaniechana jako temat „niezdrowy", represjonowana publicznie (i o ile to możliwe, prywatnie) odepchnięta od miłości i troski, utrzymuje się na powierzchni w postaci rzeczywiście niezdrowej ciekawostki, pośredniczące w zaspokajaniu prymitywnych żądz w formie filmów i wideo. Codzienna porcja ekranowej przemocy jest dostatecznie wymowna: prowokuje ona albo nadmiernie delikatne, albo brutalne oderwanie od rzeczywistości, wówczas kiedy powinniśmy koncentrować się zarówno na prawdzie o samej śmierci, jak i jej wyobrażeniu. Chyba że posiada cudowną moc rozszczepiania osobowości – a jeśli tak to dlaczego ogląda? – konsument tych szkodliwych śmieci zaczyna pojmować śmierć jako zwykły rozpad anatomiczny, pozbawiony jakiegokolwiek ludzkiego znaczenia. Niepohamowana żądza przyglądania się pozorom rzeczywistości w efekcie prowadzi do oglądania tzw. „snuff movie" (filmów „o odwalaniu kity" – przyp. tł.) upiornej fantazji, w której bądź co bądź żywi ludzie, nakłaniani do tego przy pomocy oszustwa lub siły, poddawani są torturom, obcinaniu członków i zabijani pod obojętnym, nie widzącym okiem kamery. Cóż może być bardziej zabójcze niż takie ochocze ignorowanie śmierci.

Żyjemy w liberalnym społeczeństwie, które z zachowaniem wszelkich pozorów przyzwoitości, oficjalnie potępia tego typu paskudztwa. Być może więc nie społeczeństwo należałoby bezpośrednio za nie winić. Tylko że w efekcie wielu pogmatwanych przyczyn brakuje mu dostatecznej woli dla energicznego zahamowania tych przejawów okrucieństwa, z całą bezwzględnością na jaką zasługują. Jakby nie było, wygląda że liberalizm jest bezpośrednio odpowiedzialny za represjonowanie śmierci. Tak jak istnieje kilka okropności, do których nie będzie zachęcał (przynajmniej w teorii), tak też jest parę przyzwoitych rzeczy, w których lekceważeniu lub powstrzymywaniu nie bierze udziału, a wszystko w imię „wolności". Śmierć i to co się z nią wiąże, nie ma dla siebie miejsca w liberalnym wszechświecie. Liberalizm jest w mniejszym stopniu ideologią młodości niż tych, którzy jak Jezebel Racine'a na próżno do niej pretendowali, „pour réparer des ans l' irréparable outrage". Śmierć jest najbardziej kategoryczną negacją świata, który najwyższą wartość upatruje w nieskrępowanym wyborze. To znaczy jeśli wolno nam tu w ogóle mówić o wartości. Bo tam gdzie każdy (nie posiadający pewnych wyszukanych zahamowań) jest zasadniczo prawem dla samego siebie, tam możliwe jest odróżnienie wartości od zachcianki czy też racjonalnej zachcianki od rozważnego zaspokojenia kaprysu. I chociaż każda klika posiada swój zmienny żargon, to nie ma jednolitego, wspólnego języka, w którym takie rozróżnienia mogłyby zostać uświęcone, zachowane i nabrałyby cech stałych. Jak więc, skoro poważnie się z czymś wiążę, miałbym rozpoznać to jako miłość i odpowiednio ją przedstawić? I jak, kiedy odejdzie, mam zostać pocieszony? W jaki sposób możliwa będzie prawdziwa wspólnota uczuć? Kto, włączając w to mnie, zrozumie okoliczności i będzie znał prawdziwe sposoby wyrażania sympatii? Powinienem cierpieć nie rozpacz, a surową, bezpostaciową nędzę. Wracając do swego kartezjańskiego więzienia powinienem, zgodnie z pamiętnym zdaniem Tocqueville'a, zostać zamknięty w okowach samotności mego własnego serca.

Ceremoniał użyczył kształtu rozpaczy. W ten sposób zarówno usprawiedliwił ją, jak i poprzez uczynienie jej zrozumiałą dla wszystkich umożliwił jej przezwyciężenie. Sprzeciwianie się w imię „spontaniczności", temu że konwencjonalne wyrażanie uczuć musi być w jakiś sposób fałszywe, jest dokładnym przeciwieństwem prawdy. Gdyż bycie zmuszonym do improwizacji wyrażeń, jest w dużej mierze improwizowaniem uczuć. Bycie skrępowanym niemocą sprecyzowania swoich emocji równe jest separacji z nimi. Tym samym, jeśli nie byłyby one prawdziwie moje, nie mogłyby być ani szczere, ani też „spontaniczne". „Czyż poza zwyczajem i ceremoniałem" pisał Yeats, „narodziny piękna i niewinności są możliwe".

Tam gdzie liberał pozszywał, tam radykał drze. Pożądanie bezgranicznej wolności kończy się w otchłani bezsensu. Śmierć, która zawsze łączyła się z lękiem, staje się istnym straszydłem. Radykał w okamgnieniu daje sobie radę z dwoma tymi problemami. Śmierć zostanie obalona, a sens na nowo wykuty w zrozumiałym geście „wyzwolenia". Liberalizm pokazał (powiada fałszywie radykał, chociaż jego własne doświadczenie i moje o nim mogą potwierdzać to co mówi), że indywidualność jest w najwyższym stopniu nie do zniesienia. Tak więc precz z nią i jej warunkami, a przede wszystkim z czasem i z miłością. Niemniej liberał wie równie dobrze jak konserwatysta, że bycie sobą jest długotrwałym tworem społecznym (on powiedziałby produktem). Tak też aby obalić indywidualność (mówi dalej) musi-

my dokończyć liberalną robotę. Najpierw, przy użyciu siły lub za pomocą moralnego podporządkowania indywidualny osobnik musi zostać całkowicie i bezwzględnie oczyszczony ze swej przeszłości i przyszłości, swoich korzeni i nadziei. Wówczas rozpaczliwie pożądający związku, z całych sił pochwyci oferowaną przez nas wieczność, chociaż i tak zmierzała ona w jego kierunku. W miejsce miłości otrzyma równość. Gdyż bycie przywiązanym specyficznie do nikogo, jest tym samym co bycie przywiązanym do wszystkich jednakowo. Jego potrzeba posiadania władzy, jak i znaczenia spełni się poprzez całkowite zanurzenie się jego, w abstrakcyjnej, bezosobowej kolektywności, która ponieważ jest właśnie taka, będzie również nieśmiertelna.

Tam gdzie nie ma poczucia samego siebie ani śmierć, ani rozpacz nie istnieją. Wszystkim co tam pozostaje, to „głupi fizjologiczny fakt" śmierci biologicznej, bagatelka w porównaniu z dziełem, jakie przed nami stoi. Pracy będzie dosyć dla wszystkich i trochę jeszcze zostanie, gdyż (między nami mówiąc) niektórych trzeba będzie poświęcić. Refleksja jednak powinna ich uspokoić. Zrzeczenie się pierworództwa za kawałek Utopii – w której ze względu na równość podział nie istnieje i każda cząstka jest jednocześnie całym tortem – czymże jest jeśli nie prawdziwą nieumieralną bezinteresownością?

Widoki wymalowane przez radykała są wyjątkowo nieatrakcyjne dla kogoś kto nie szuka wyzwolenia z ludzkich warunków życia. One również w tym całym prospekcie podlegają głębokiemu i zupełnemu zagmatwaniu. W całkowicie przetransformowanym społeczeństwie, świadomość, która wcześniej posiadała jakikolwiek byt, straciłaby wszelką łączność z naszą obecną świadomością. Ponieważ nie byłaby to „moja" świadomość, to ani ja, ani radykał nie moglibyśmy racjonalnie pożądać „bycia nią". Jego zniewalające poczucie znaczenia jest czystym złudzeniem, przy pomocy którego przenosi się on myślą w przyszłość, w której (o czym zapomina) jego teraźniejsze jestestwo nie będzie istnieć. Znaczenie, jakby na to nie patrzeć, nie może zostać osiągnięte poprzez zanurzenie się w Jedności. Gdyż niemożliwością jest bycie w relacji do czegoś, co jest ze mną identyczne. Cała sprawa jest równie absurdalna jak reinkarnacja. Chrześcijaństwo, w wyniku którego moja dusza jest identyczna z moją osobą, oferuje mi coś, czego z całą odpowiedzialnością wolno mi pożądać. Gdyż zgodnie z doktryną chrześcijańską to ja, a nie jakieś tajemnicze wewnętrzne założenie bliżej mi nie znane, przeżywam śmierć, będąc odpowiednio wyposażonym w narzędzie mojej indywidualności, jakim jest moje wskrzeszone z martwych ciało. Tymczasem plan radykalny prowadzi wyłącznie ku zagładzie. Faktycznie jest on przedwczesnym przywoływaniem śmierci; osobistą halucynacją, którą aby zabezpieczyć przed rzeczywistością, trzeba by wszystkich nas siłą zmusić do uczestniczenia w niej.

Pokazałem tu radykalizm w jego idealnej, rewolucyjnej formie. Jednakże zwyczajny staroświecki socjalista nie chce, abyśmy byli kimś innym niż jesteśmy (to znaczy abyśmy umarli). Chce on natomiast, abyśmy w naszych obecnych wcieleniach, zażywali różnych porządków społecznych. Tymczasem właśnie dlatego, że ja nie chcę być innym, wątpię abym chciał ich zażywać. Gdyby był on w stanie przekonać mnie, że same w sobie są one godne pożądania, że mógłbym je posiąść bez zrzekania się tego co już mam i lubię, czy nawet że powinienem, chcąc nie chcąc, zaakceptować je ze względu na dobrodziejstwa, jakie dzięki nim uzyskują ludzie pokrzywdzeni (a musiałyby one być niekwestionowane), wówczas być może dołączyłbym do niego. Ponieważ jednak nie jest on w stanie dowieść mi żadnej z tych rzeczy odnoszę wrażenie, że socjalizm byłby udręką dla wszystkich oprócz niego.

Takie same zresztą byłyby konsekwencje pacyfizmu nuklearnego. W odróżnieniu od skrajnego radykalizmu, Ruch Pacyfistyczny nie lekceważy śmierci fizycznej. W gruncie rzeczy prawie całkowicie żywi się on lękiem, jaki śmierć od stuleci wywołuje. Kilku zaledwie niezdecydowanych realistów (E.P. Thomson pośród nich) przyznaje, że prawdopodobną konsekwencją jednostronnej polityki, byłaby jakaś forma sowieckiej dominacji (pisane przed upadkiem Związku Radzieckiego – przyp. tłum.). Wiedzą oni również, że znacznie bardziej niż socjalizm (tak im bliski) byłoby to końcem większości rzeczy, które my, a nawet oni sami, uważamy za wartościowe. Wyraźnie jednak to jest mniej ważne niż ratowanie naszej własnej skóry. Chociaż nawet jeśli ich kalkulacje byłyby poprawne, jaki sens byłby w ratowaniu niczego więcej poza naszą skórą? Zgodnie z tym, co Patoćka przekonywająco dowodził, życie, które nie jest gotowe zaryzykować siebie przeciwko swemu własnemu znaczeniu, tak czy inaczej nie warte jest przeżywania. Nie twierdzę tutaj, że powinniśmy postawić się i popełnić nuklearne samobójstwo. Jednak bez świadomości tego, że nie możemy czegoś porzucić (jakby ktoś mógł porzucić istnienie fizyczne) nie można nawet rozpocząć sensownych negocjacji z wrogiem, gdyż nie ma czego negocjować. Wiedząc, że nie posiada nic co mógłby bronić, taki ktoś zauważy, że nie ma nawet woli przetrwania, nie mówiąc o przeciwstawieniu się. Jakże jednak mają się takie rozważania do sentymentalnych bredni Ruchu Pacyfistycznego, dla którego żadna cnota nie przewyższa bezosobowej cierpliwości warzywnej?

Szanujemy życie fizyczne zgodnie z tą samą zasadą, z którą szanujemy śmierć. Dlatego też potępiamy morderstwo, bez względu na to jak „obiektywnie" zbędna może się wydawać ofiara (np. lichwiarka Raskolnikowa). W porządku jest jednak to, gdy osobnik wie, kiedy wyrzec się własnego życia. Śmierć jest prawem naszej natury; i lepiej, podobnie jak w stosunku do innych praw, rozumieć jego konieczność i przestrzegać je z własnej woli niż być zwyczajnie do tego zmuszanym. Samobójczy protest (tak długo jak długo jest altruistyczny),

męczeństwo, samopoświęcenie; wszystkie afirmują lub przywracają światu to jego znaczenie, którego jako zwyczajna fizyczna egzystencja nie posiada. To samo jest prawdziwe odnośnie naturalnej śmierci, przed którą tak się wzbraniamy, ale której oczekujemy z nadzieją. Akceptować śmierć, znaczy tyle co uronić rąbka transcendencji, to widzieć jak natura poszerza ludzki cel, nawet wówczas gdy wygląda jakoby najbardziej starała się go unicestwić. (Bez wątpienia jest to jeden z powodów, dla którego prawie wszystkie pogrzeby z wyboru, zawierają w sobie ceremoniał religijny, w odróżnieniu od urodzin czy zawierania małżeństw.) Ponieważ alternatywa jest tak przerażająca, natura dla naszej korzyści stworzyła nam możliwość umierania w zgodzie z samym sobą. Ten pokój (żaden Ruch Pokojowy) z samym sobą jest miłością i jeśli nauczymy się akceptować jego warunki, wówczas naszym naturalnym przeznaczeniem będzie umiejętność cieszenia się nim. Filistyni, czy też ignoranci typu Iwana Illicza, możliwe że zrozumiemy to dopiero w ostatniej chwili. Jeśli jednak można nas od samego początku nauczyć akceptacji naszej moralności, jego agonia zostałaby nam zaoszczędzona, i wypełniłaby nasze życia i śmierci znaczeniem.

„Tylko z pozycji śmierci" pisał Rilke, „możliwe jest pojęcie tego czym jest miłość". Nie ma wyższej wartości niż miłość, a wynika to ze śmiertelności. Tym samym gdyby śmierć nie istniała konieczne by było jej odkrycie. Życie wieczne nie jest już czymś co z medycznego punktu widzenia wydawać by się mogło nie do pomyślenia; gdybyśmy jednak go posiadali prędko błagalibyśmy o wybawienie. Jeśli nie mielibyśmy nic poza dostatkiem świata i czasu obie te rzeczy rozmyte zostałyby w swojej banalności. Ktoś jednak powie, że to i tak nie ma znaczenia: wartości to nic innego tylko zwyczajna fikcja, sfabrykowana po to, aby śmierć była bardziej znośna.

Odpowiedź na to mam następującą. Możliwe że ani my, ani śmierć nie jesteśmy źródłem wartości. Cokolwiek zawyrokowało o tym, że powinniśmy umrzeć, zawyrokowało również, że powinniśmy szukać, odkrywać wartość, transcendować śmierć i lęk przed nią. Istnienie fizyczne, co i życie etyczne są tym samym podarunkiem pochodzącym z jednego źródła, źródła o którym mówimy i doskonale zdajemy sobie sprawę, że do końca mówimy o nim przy użyciu nieuniknionej metafory i wcale nie będzie absurdem stwierdzenie, że źródło to jest mądre i dobroczynne. Śmierć i wartość są tak właściwe rzeczywistej ludzkości, jak ludzkość właściwą jest porządkowi naturalnemu. I cokolwiek ucieleśnia i afirmuje te prawdy, czy jak powiedziałby Burke, te uroczyste pozory prawdopodobieństwa – mimo iż jest tworem ludzkim pozostaje tym niemniej naturalne.

Kultura zasługuje na naszą akceptację, naszą lojalność i nasz wysiłek. Musimy ją naprawiać tam gdzie możemy i wznawiać tam, gdzie nie możemy. Niektórzy konserwatyści postrzegali kulturę jako dzieło Boga; inni jako twór natury. Oświadczenia te, jak wcześniej wspomniałem, wymykają się wszelkiej analizie. Żadne jednak w ostatecznym rozrachunku nie wydaje się w najmniejszym nawet stopniu dziwaczne.

Tłumaczył: Andrzej Żuromski

R.A.D. Grant. Wykładowca literatury angielskiej na University of Glasgow. Autor Krótkiej Historii Zachodniej Myśli Politycznej dla „Encyklopedia Britannica" (1988) oraz rozdziału na temat teorii Państwa dla encyklopedii filozoficznej (wyd. Groom Helm 1987). Członek rady „The Salisbury Review". Publikuje swoje prace także w „The Cambridge Quarterly", „The Times Educational Supplement" i w „Sheakspeare Studies". R.A.D. Grant gościł na Strychu Kulturalnym w 1989 r., wygłaszając dwa odczyty: „Wolność (ku czemu?)" i „Polityka śmierci" obecnie publikowany.

Andrzej Mazur

***

Późnym ranem nad Przemyślem mgła
Ledwo słychać świergot ptaków.
Całą noc w Słonnem dyskutowaliśmy o poezji.
Lekko zamglone niebo,
łagodne wzgórza i lasy pogrążone w ciemności.

dedykacja:
Tadeuszowi Budzińskiemu
Markowi Kuchcińskiemu
Józkowi Kurylakowi
Joli Barylance
Emilowi Kozakowi
Jaśkowi Jaroszowi

Wieża – 1995

Andrzej Mazur

***

Miasto, zachwycające w późnonocnej ciszy
te zielenie tak naprawdę niedoświetlone lampami, które zapala
nieznana nam ręka obojętnego na to wszystko zapalacza nocnych lamp;
pokryte całunem czarnej nocy.
Noc nie jest pocałunkiem dla zieleni,
oszczędza żywopłoty, jesiony, sumaki i klony,
klomby z kwiatami – smolinosami, niewielkie jeszcze tuje
i starannie wypielęgnowane trawniki

***

Noc i jej czarna rozłożystość
jak kopuła czarnego kościoła
nocnego istnienia nocy.
Gwiazdy wyznaczają przestrzeń naszego postrzegania nocy,
piękno jak lekki niewidzialny czarny całun
spoczęło na tęskniących wyciągniętych gałęziach drzew.
A na czarnej kopule nocnego nieba gwiazdy jak tajemnice.

***

Nic nie ma w ludzkich mieszkaniach,
Nic nie oznaczają te lampy nad bramami.
Wypukłość kopuły czarnej nocy,
Poziom nic nie oznaczających ludzkich mieszkań,
Dolny poziom trawników pokrytych jak niezniszczalnym dobrem
czarnym całunem nocy.
Czarna kopuła zakryła dzienny widok,
Tajemnica niedostrzegalnego istnienia doskonałej niedocieczonej głębi nocy.

Manifestacja życia się skończyła.
I głęboka, niezgłębiona, zrealizowana czarna kopuła nocy
jak nieistniejące tchnienie ulgi dobrego wszechświata
istnieje przed nami.
Dobro tak nieskończone jak wszechświat,
ten kwiat dobrze ukryty za czarnym załomem nocy,
ten czarny ogród nocy,
nie do uprawiania
i drzewa nieuchwytne w doskonałości trwania.

Wieża zegarowa – 1995

Andrzej Mazur

***

Tylko człowiek żyje, cierpi i umiera.
W tym wszechświecie – łagodnym jak łagodne niebo,
jak łagodne drzewa.

***

Nie ma zahaczenia,
Nie ma spektaklu: dworu – gdzie król, królowa, rycerze, damy
dworu, giermkowie – grali swoje role.

***

Od dawna już wie, że Go nie chcecie
I On was nie chce.
Chciał się napić tylko wina i zjeść chleba.

***

Nic nie można nikomu dać.
Nic nie można nikomu odebrać.
Nikt nikogo nie chce zawłaszczać.

***

Istnieje łagodny wszechświat,
jak łagodne niebo,
jak łagodne drzewa.

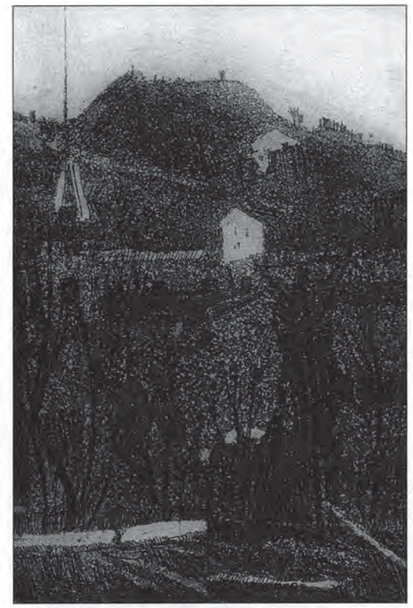

Wieczorem – 1995

Andrzej Mazur

***

Czarne jest nocne niebo,
i tylko kilka ptaków śpiewa.
Świeże, pachnące powietrzne
jak czysty oddech Wiekuistości.

***

Nieosiągalne jest czarne niebo
jak i czysty oddech Wiekuistości

***

Piszę o tym,
w ciszy, gdy ptaki śpiewają,
świeże pachnące powietrze lekko mnie owiewa,
i piję filiżankę herbaty.

***

Poszedłbym gdzieś daleko,
wśród tej nocy, w lasy, w łąki,
niezgłębione w swojej ciszy,
wśród śpiewu niewidocznych ptaków,
oderwany od wielu tysięcy rozczarowanych dni.

Uliczka nad miastem – 1996

Andrzej Mazur

***

Noc, dobro nieogarnione, ciche i milczące.
Z tym zapachem ni to jodeł ni to świerków
napływającym z niewidzialnych wzgórz,
z niewidzialnego daleka.

***

W Nocy nie ma tęsknoty.
Nie ma łopoczących sztandarów dnia.
Buńczucznych barw, kwiatów do których niezaproszeni
podchodzimy aby zanurzyć w nich nasze zmysły.
To łopoczące pod różnymi flagami żywe ludzkie istnienie,
ta manifestacja poszczególnych ludzkich istnień,
ta dzienna krzątanina
wokół kwiatów, drzew, krzewów.
Niewidzialne jest istnienie nocy,
jak niewidzialny zapach dalekich jakby nieistniejących
drzew.

***

Jesteś doskonała nocy,
nasiąknięta zapachem niewidzialnych kwiatów.
Nikt cię nie naruszy doskonała,
doskonale niepotępiona,
doskonale spełniona.

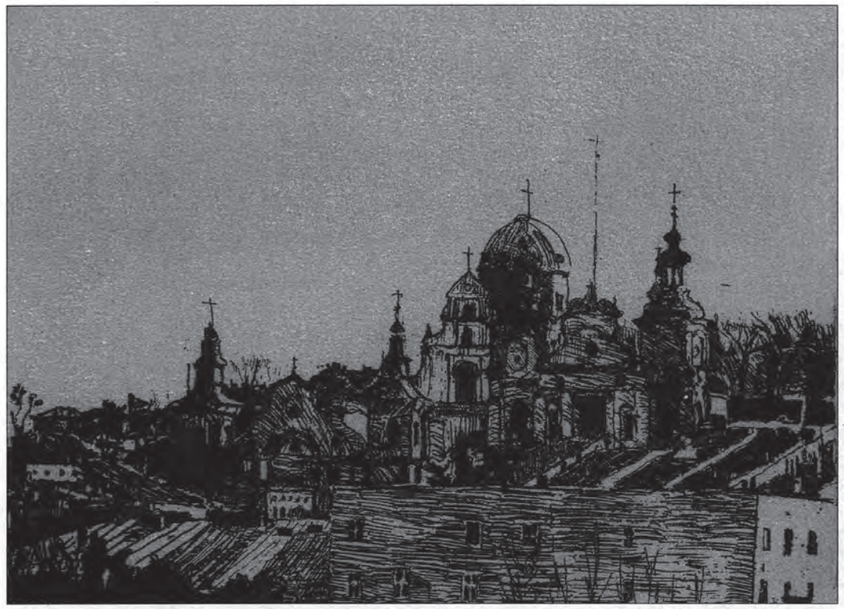

O zmierzchu – 1995

Andrzej Mazur

***

Nie dotknę tego świata
da sobie radę beze mnie.
Nie trzeba poprawiać tego świata, ani tych ludzi
„mających czasem masę problemów",
i noszących cienkie i eleganckie spodnie i marynarki
i cienkie eleganckie krawaty.
Ani tych kobiet,
„mających czasem masę problemów"
i noszące cienkie nie rzucające się w oczy sukienki.
Nie dotknę nawet drzewa,
pooglądam jaszczurkę zwinkę, zdumioną obecnością człowieka,
skrzypy, kłos pszenicy,
Nie chcę nawet wiedzieć gdzie te bobrowe żeremia,
i siedliska raków.
Nie chcę nawet pomyśleć dokąd płynie rzeka,
nasycony zapachem pól,
podziwiając niskie loty wróbli.

Widok z wieżą – 1995

Andrzej Mazur

***

I już wiem, że nie przyglądają nam się te jodły,
I te fiołki, i ten wszechświat.
I już wiem – nikt nam się nie przygląda.

Andrzej Mazur
ur. 1952. Poeta, publicysta,
ekolog, mieszka w Przemyślu.

Nad Sanem – 1995

Marek Mikrut, ur. w 1955 r.
w Krakowie. Malarz.
Mieszka w Przemyślu.

REŻYSEROWANIE MALARSTWA

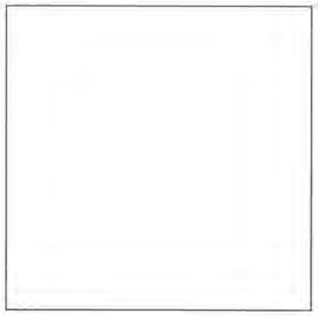

Rozmowa z Leszkiem Mądzikiem.

Janusz Czarski: Czy jako artysta jest Pan bardziej malarzem czy reżyserem teatralnym?

Leszek Mądzik: Myślę, że trzeba by te działania spiąć razem klamrą i połączyć. Myślę, że jest to jakby reżyserowanie malarstwa, gdyż sądzę, że nawet w malarstwie jeśli jest tam wcześniej kompozycja, czyli reżyseria tego co zobaczymy, to jest ona pozbawiona tych elementów, które są tam typowe dla teatru. Teatr zaś potrzebuje reżyserii. Wydaje mi się, iż moja praca jest rodzajem malowania, ale malowania reżyserskiego, to znaczy, że pojawia się nowy element. Pojawia się element przestrzeni, pojawia się element obnażeń stopniowych, które jakby w samym malarstwie są utajone i jakby od razu eksponowane. Tutaj czynię to w czasie. Myślę, że czas i przestrzeń powodują, że trzeba to nazwać reżyserią.

J. Cz.: Pana twórczość jest niemal od początku konsekwentnym budowaniem własnego, niepowtarzalnego języka. W pierwszych spektaklach (tych z początku lat siedemdziesiątych) jest jeszcze słowo, aktor, barwa, w ostatnich zaś wszystkie te elementy są zredukowane. Czy może Pan bliżej scharakteryzować ten proces?

L. M.: Tak. Ten proces jest długi i jego jakby w jednym roku nie byłbym w stanie przeprowadzić. Ja sam z pewnej dłuższej perspektywy, teraz już ponad dwudziestu lat, zauważam zmiany, które spowodowały, że ta forma się wykrystalizowała w języku. Myślę, że w nowym języku. Zaryzykuję powiedzieć, że w języku który rzadko kto penetrował, w takim sposobie zdobywania widza. Może po kolei parę elementów tego procesu. Pierwszym z nich (może nie najważniejszym) była eskalacja przestrzeni. Pierwsze spektakle były bardzo płaskie, traktowane jak w ramie obrazu i działy się nieraz w takich izokefalicznych fryzach, w jednej linii, w jednej płaszczyźnie. Pamiętam z roku na rok gdzieś sobie tę przestrzeń pogłębiałem w jedną i drugą stronę a więc w kierunku widza i w głąb sceny, co dało mi taką nową możliwość i zauważenie nowej wartości jaką jest przestrzeń. Przestrzeń ta stała się jednym z ważnych organizujących te przedstawienia elementów. To jest jakby jeden element, właśnie przestrzeń. Lecz oczywiście w tej przestrzeni musi się coś znaleźć. Był kiedyś w niej bardzo mocno zauważony, w pierwszych spektaklach aktor, który w wypadku spektaklu ECCE HOMO niewiele musiał odchodzić od swojego wcześniejszego klasycznego grania, grania swojej roli. Myślę tutaj o WANDZIE Norwida wcześniej, a później o ECCE HOMO, gdzie ten sam zespół przeszedł właściwie z ról aktorskich w konwencję teatru plastycznego i nie do końca się z nią godził. Ja też nie do końca widziałem jego nową rolę. W każdym razie gdzieś ten mój aktor przeszedł metamorfozę i w pewnym momencie wtapiał się w przedmiot, on ten przedmiot ożywiał, sam zaś się gubił. Wypunktowana została jednocześnie sytuacja nowych elementów, takich jak rzecz, jak faktura, jak płaszczyzna no i barwa także. Wszystkie te elementy stanowiły o ekspresji spektaklu. Natomiast aktor w niej zanikał, przechodził gdzieś w inne zadania, stawał się jakby sprawcą, ożywiał przestrzenie. Tylko szczątkowo wykorzystywałem jego anatomię, wykorzystywałem jego fakturę ciała, jego twarz, jego jakby rzeźbę. Lecz nie miał on, aktor, tej możliwości kreowania, nie mógł jakby indywidualnie, osobiście zaistnieć. I to stało się coraz bardziej silne w kolejnych spektaklach, a już dzisiaj taką samą wartość przedstawia dla mnie przedmiot jak aktor, to znaczy bez jakiejś obawy, że kogoś degradujemy. Ta formuła teatru po prostu każe wierzyć, że przedmioty o nas mówią także silnie, są przekazem prawdy o człowieku. Może trzeba także im dać szansę istnienia w tej przestrzeni.

J. Cz.: Wśród wielu terminów używanych przez krytyków dla określenia fenomenu Pana teatru pojawia się określenie teatr filozoficzny. W tej perspektywie Pana twórczość sytuowana jest gdzieś w miejscu, gdzie człowiek staje wobec pytania o sens własnego życia, cierpienia, jednocześnie staje wobec alternatywy: albo bezsens

i rozpacz, albo wbrew wszystkiemu zawierzenie, Absolut, Bóg. Czy Pana teatr jest w tym znaczeniu teatrem religijnym?

L. M.: Myślę, że to poszerza jakby pojęcie teatru religijnego i w ogóle religii, gdyż jest to ważny moment i sądzę, że ten teatr chyba na tym zawierzeniu stoi. To jest jakaś dla mnie i wielka nadzieja, i potrzeba jakby tak go konstytuowania. Nie wyobrażam sobie, żeby to wszystko co robię miałoby być apoteozą absurdu i pomimo że każdy mój spektakl dotyka trudnych naszych przeżyć i zagrożeń, dotyka niepokojów, także cierpienia i sytuacji, które zdawałoby się, że już powinne nas zniszczyć, będąc beznadzieją i rozpaczą, to gdzieś podświadomie (myślę, że czytelnie dla widza a dla mnie jest to oczywiste) jest tęsknota, że to wszystko ma jakiś sens, że to wszystko nie jest chaosem, przypadkiem, więc może wynikać z tego jakaś wartość, która pozwoli nam z twarzą zejść z tego świata.

W miarę upływu lat jestem coraz bardziej przekonany o tym, że jesteśmy skazani na wiarę, jesteśmy skazani na absolut, na Boga. Mój teatr bardzo pragnie znaleźć się w tym zamierzeniu, w tej ufności, że tam gdzieś wszystkie nasze kłopoty znajdą swój właściwy wymiar. Oczywiście pretekstem do tego, często pretekstem prywatnym, są bardzo osobiste przeżycia. Myślę, że powodem każdego spektaklu, każdej realizacji, był jakiś ważny dla mnie fakt. Nie tylko samo filozofowanie. Inaczej mówiąc pretekstem, jakimś impulsem, jest namacalny dowód przeżycia pewnych zagrożeń. Często zauważam, że widz nie traktuje mojego przekazu jako czegoś prywatnego, czym dzielę się tylko z nim, lecz w tym teatrze te przeżycia stają się jakby uniwersalne, archetypiczne. Jest to oczywiście dla mnie bardzo pozytywne i ważne, ważne w potrzebie robienia tego teatru. To tak, jakby następowała dziwna metamorfoza czegoś bardzo indywidualnego, czegoś bardzo prywatnego, które przełożone na język teatru staje się uniwersalne.

Nie chcę podawać tych bardzo osobistych przykładów, powiem tylko, że było parę faktów w moim życiu, które widocznie musiały się zdarzyć, musiały mnie osaczyć, musiały mnie dotknąć, żebym wyzwolił w sobie tę potrzebę wytrwania przez rok, dwa a nawet trzy w pracy nad ich odtworzeniem, przetworzeniem w formie teatralnej. Myślę, że gdyby tych faktów, zdarzeń nie było w moim życiu, gdybym nie był papierkiem lakmusowym tych doświadczeń, nie miałbym potrzeby, żeby ten teatr robić. Nie chciałbym być filozofem tego teatru – zostawiam to krytykom, to co z tym zrobicie, jakie to jest i co to o nas mówi. Chciałbym tylko po prostu jakby przerzucać przeżycia, które mam w sobie, które także nas wszystkich dotykają w stronę widzów. Ten proces zaczynam od siebie. Powodem jest ta niemożność dania sobie rady z tymi faktami i przeżyciami. Powoduje ona blokady, stresy i złe czucia się. Mogą być one zlikwidowane, wyrzucone dzięki temu, że mogę je w teatrze w pewien sposób obnażyć i dalej przekazać je widzowi, dając mu szansę ich przeżycia. Mnie zaś takie działania dają dziwną równowagę, dają spokój i są dla mnie terapią.

J. Cz.: Jednym z elementów teatru jest widz. Jaka jest sytuacja widza w Pana teatrze? Jak go Pan sytuuje?

L. M.: Może zacznę od tego, że gdy robię spektakl, krytykę czyniąc podczas jego prób, zastanawiając się, które sceny jak zaistnieją, dziwna rzecz, lecz czuję się w pozycji widza. Po prostu bardzo łatwo mi być widzem i jakby próbuję mieć dystans także do siebie jako reżysera. Próbuję więc trochę znaleźć się jakby w nim (widzu), co mi ułatwia pracę, gdyż łatwiej jest mi odrzucić pewne skłonności, pewną jakby satysfakcję, która na pozór mnie zadowala. Lecz jest to jakby jeden aspekt. Oczywiście chciałbym, żeby widz miał taką samą optykę zobaczenia tego spektaklu, którą mam ja. Jest tak, ponieważ w trakcie każdej realizacji pojawia się gra na przykład bardzo małym detalem, nieraz jakimś mało zauważalnym elementem, bardzo dyskretnym. Zależy mi, aby widz miał możliwość penetracji całej przestrzeni i oglądał ją z tej pozycji, z jakiej ja robiłem ten spektakl. Z tego wynika konieczność małej ilości widzów, która daje szansę każdemu z nich zobaczenia wszystkich elementów spektaklu. Moim pragnieniem jest, żeby widz jak najszybciej po przyjściu do teatru wytrącił w sobie swoją prywatność, te sprawy z jakimi przyszedł. Żeby osiągnąć takie efekty wykonuję szereg zabiegów. Po to, żeby wprowadzić widza w świat, który chciałbym aby go ogarnął. Czuję potrzebę, aby widz jak najszybciej stracił poczucie nawet kinetyki, nawet fotela, na którym siedzi, żeby poddał się jakby dryfowaniu przestrzeni czerni. Wówczas gubiąc relację, wszelkie odniesienia, poczucie bezpieczeństwa, jakie ma w oparciu o detal architektoniczny lub drugą osobę, mam szansę jakby indywidualnie każdemu z tych widzów, który nie czuje obok siebie nikogo więcej (na ile to jest możliwe) wciągnąć w tajemnicę, w tę przestrzeń, którą ja mu po kolei obnażam w czasie spektaklu. Zawsze mi przeszkadzają (sądzę, że i widzowi też) duże grupy widzów, architektura, która często uniemożliwia jakby wytrącenie go z tej przestrzeni, która dominuje i jest w teatrze zauważalna. Najchętniej zamknąłbym widza w tej swojej przestrzeni tak, żeby on ją wieńczył. Kiedyś powiedziałem i dalej to podtrzymuję, że widz jest jakby pełną kompozycją tego co się w spektaklu dzieje. Jest on jakby częścią tej salografii, w której dzieje się spektakl. Widz w pewnym momencie nie ma prawa (w każdym razie chciałbym, żeby tak czuł) mieć świadomości, że jest w architekturze teatralnej. On jest tylko w tym wymiarze i w tym temacie, w tym kosmosie, który ja mu zaproponuję.

J. Cz.: Scenę Plastyczną Leszka Mądzika wymienia się obok teatralnych dokonań Tadeusza Kantora i Józefa Szajny. Wskazuje się także paralele (pokrewieństwa) z twórczością Petera Schumanna...

L. M.: ... tak, padły te nazwiska. Myślę, że jakby z samego warsztatu najwięcej skorzystałem (w latach 70. u początku Sceny Plastycznej) z doświadczeń, jakie wniósł (jakie mogłem obejrzeć) Peter Schumann. To był charakterystyczny teatr. Charakterystyczny przez fakt, że był właśnie teatrem plastycznym, także przez to, że docenił rolę nadmarionety. Docenił rolę kukły. To było główną jego siłą, siłą tego teatru. Ja poddałem się tej presji, tej wizji, jaką prezentował Schumann i rzeczywiście spektakle NARODZENIA, ECCE HOMO, WIECZERZA miały jeszcze znamiona tamtego teatru i czuło się, że ja się do tego przyznaję. W tych spektaklach pojawiły się ślady, widoczne były inspiracje teatrem Schumanna. Myślę że formalnie z doświadczeń, które był przeniósł do swego teatru, doświadczeń warsztatowych, nie czułem wtedy potrzeby, nikim potem się inspirować ani nikogo naśladować. To na pewno tyczy Szajny i Kantora, choć są to dla mnie dwa różne światy. Jeżeli UMARŁA KLASA była dla mnie spektaklem ważnym w sensie przeżycia jako widza to nie bardzo i bezradny byłem wobec koncepcji teatru plastycznego tego twórcy. Moja struktura myślenia wobec koncepcji teatru była zupełnie inna. Nie wyobrażałem sobie, że coś z teatru Kantora mogłoby się zdarzyć w moim teatrze. Natomiast UMARŁĄ KLASĘ przeżyłem jako widz. Uważam, że jest to wspaniały spektakl. Myślę, że jest to najlepszy spektakl Kantora i właściwie szalenie interesował mnie pewien duch, który panował w tym spektaklu, pewne napięcia. To samo mogę powiedzieć o wcześniej zobaczonym APOCALIPSIS CUM FIGURIS Grotowskiego, który także mną wstrząsnął, ale język tego teatru był mi obcy. Natomiast pojawiła się we mnie w wyniku tych spektakli silna potrzeba, żeby w języku, w którym czuję się bezpiecznie, języku plastycznym próbować wywołać podobne odczucia. I jakby moja praca w ciągu tych dwudziestu paru lat zdąża do tego, by osiągnąć taką siłę, którą tamten spektakl niósł, ale posługując się zupełnie innym językiem. Myślę, że jeśli chodzi o teatr, to tak wyglądałyby moje inspiracje.

Gdzieś po drodze bardzo silnie zauważyłem obecność Bergmana, twórczość Aliny Szapocznikow, która zainspirowała mnie do pracy nad spektaklem ZIELNIK. Myślę, że zauważalne są także moje inspiracje Breuglem i jego twórczością. Widoczne w spektaklu IKAR. W pierwszym okresie mojej twórczości widoczne są motywy biblijne. Dotyczy to spektakli ECCE HOMO, NARODZENIA i WIECZERZA. Czerpały one inspirację z Biblii, obrazów, przedstawień, które przenosiłem (chyba już teraz mogę to powiedzieć) z pewnym dystansem do tego. To było jakby ilustrowanie, gdyż w ostatnim okresie w moim teatrze nie ma już potrzeby ilustracji.

J. Cz.: Od bodajże pięciu lat działa galeria Sceny Plastycznej. Pokazano w niej prace takich twórców jak Ewa Kuryluk, Jan Lebenstein czy Abakanowicz. Czy jest to uzupełnienie twórczości teatralnej czy też nowa pasja?

L. M.: To może zabrzmi egoistycznie, ale rzeczywiście jest to integralna część i teatru, i myślenia w tym teatrze. Pojawienie się tej galerii, już w samym założeniu przed kilku laty, ma związek, powiedziałbym, z psychiką tego teatru i mojej w nim pracy. Zawsze odważyłem się przyznawać do inspiracji, do szacunku dla twórców, z którymi się spotykałem, obserwując ich niemal od lat sześćdziesiątych. W pewnym momencie to pękło. Założenie galerii było jakby potrzebą zamanifestowania, także zidentyfikowania się (na ile to możliwe), zauważenia tych osób, które bądź inspirują mnie w pracy, bądź (choć mają inny język) doceniam ich twórczość, gdyż penetrują podobny problem, z którym ja sobie chcę dawać radę. Oni w wielu wypadkach już to zrobili. Oni już to mają za sobą. Jakby już odkryli jakieś prawdy o nas, jakieś wartości, które w człowieku są. Jakby określili te bieguny (pozytywne i negatywne) naszych kłopotów. Jakby odkryli ludzkie wymiary twórczości. Te wartości, które w ich pracach dostrzegam i chciałbym je obnażyć i głośno powiedzieć, że bardzo szanuję ich twórczość. Stąd: ta galeria, stąd te nazwiska, których już chyba dwadzieścia jeden się przewinęło i mam nadzieję, że będą następne, bo tych ludzi jest jeszcze wielu. Teraz dopiero ich odkrywam. Teraz dopiero mam większą odwagę jakby do nich podejść i zaprosić ich do galerii Sceny Plastycznej. Chciałbym im za to podziękować. Czerpię z ich twórczości bardzo wiele do swojej pracy. To główny powód, lecz za nim idzie drugi. Ta galeria jest w jakimś środowisku, środowisku KUL-u. Stanowi przez to szansę spotkania się społeczności uniwersyteckiej z tymi artystami, ale także szansę dla środowiska lubelskiego. Udało mi się na przykład sprowadzić prace Ewy Kuryluk z Ameryki. Była to pierwsza jej wystawa po dłuższej przerwie.

Myślę, że taki sens jest tej galerii i życzę sobie, aby istniała ona długo.

Rozmawiał: Janusz Czarski
Przemyśl, kwiecień 1992 r.

Leszek Mądzik. Twórca i reżyser Sceny Plastycznej KUL. Mieszka w Lublinie.

Urszula Olbromska

PIOTR MICHAŁOWSKI W BOLESTRASZYCACH

W czasach obecnych zwykło się o Piotrze Michałowskim pamiętać i mówić jako o wybitnym malarzu nurtu romantycznego, a nawet nadawać mu miano prekursora malarstwa romantycznego. Rzeczywiście, zasługuje on na takie określenie chociaż regularnych studiów malarskich nie odbył; był jedynie amatorem, ale za to amatorem genialnym. Michałowski to w ogóle człowiek o wszechstronnych uzdolnieniach i nadzwyczajnej pracowitości. Za swego życia bardziej był jednak uznany jako malarz za granicą niż w kraju. W Polsce znano go jako bogatego pana i ceniono jako męża stanu.

Urodził się 2 lipca 1800 roku w Krakowie w zamożnej rodzinie szlacheckiej. Ojciec, Józef, był wojskowym, brał udział w powstaniu kościuszkowskim, na starość otrzymał dożywotnie stanowisko senatora Wolnego Miasta Krakowa. Matka, Tekla, pochodziła z Morsztynów. Majątkiem rodzinnym Michałowskich były Krzyżtoporzyce i Łuczyce.

Piotr od najmłodszych lat wykazywał się talentem muzycznym, malarskim i uzdolnieniami lingwistycznymi (w trakcie edukacji poznał biegle języki martwe, orientalne i kilka nowożytnych). Malarsko kształcił się w pracowni Michała Stachowicza, następnie Józefa Brodzińskiego, wreszcie Franciszka Lampiego. Wykazywał duże zamiłowanie do nauk spekulatywnych i ścisłych.

Po ukończeniu gimnazjum w wieku lat 14 wstąpił na Uniwersytet Jagielloński. Studiował mineralogię, pogłębiał też wiedzę w innych dziedzinach. W ciągu pięciu lat studiów został absolwentem wydziału matematyczno-fizycznego oraz nauk wyzwolonych, szósty rok studiów zajęło mu przygotowanie do podjęcia nauki w seminarium filologicznym w Getyndze. Jednak zrezygnował tam z nauk filologicznych na rzecz prawa i polityki.

Po ukończeniu studiów rozpoczął służbę publiczną w Warszawie, u boku księcia Lubeckiego. Zajął się hutnictwem. Zaprzyjaźnił się wówczas z Leonem księciem Sapiehą z Krasiczyna.

W 1826 r. został komisarzem komisji rządowej przychodów i skarbu. Rok później otrzymał nominację na naczelnika wydziału hut i tym samym nadzór nad całym górnictwem krajowym. Dla podniesienia kwalifikacji często podróżował po Europie. Największą przyjemność podczas podróży służbowych stanowiło dla niego zwiedzanie muzeów oraz możliwość szkicowania.

Po wybuchu powstania listopadowego został mianowany przez Radę Najwyższą Narodową dyrektorem generalnym fabryk i zajął się produkcją broni. Po upadku powstania wycofał się jednak ze służby państwowej i w marcu 1832 r. wyjechał z teściem, Antonim Ostrowskim do Francji. W Paryżu mógł wreszcie w pełni poświęcić się swej największej pasji malarstwu. Malarstwo traktował w podobny sposób jak każdą z poznawanych przez siebie dziedzin nauki – z pasją i pracowitością. Wstąpił do pracowni Charleta, kopiował w Luwrze, urządził własną pracownię. Szczególnie interesowała go anatomia konia, którą poznawał, szkicując z natury i przyglądając się pracy rzeźników. 14-godzinny dzień pracy przyniósł efekty i wkrótce jego akwarele zdobyły francuski i angielski rynek, zyskując ceny nie mniejsze niż szkice i obrazy Gericaulta.

Po powrocie z emigracji zamieszkał w Krakowie i urządził własną pracownię. Po śmierci ojca w 1837 roku objął Krzyżtoporzyce. I w dziedzinie zarządzania Michałowski okazał się niezrównanym gospodarzem. Majątek rodowy stał się wkrótce rentownym gospodarstwem, a jego nowy gospodarz miał jeszcze czas na malarstwo. W roku 1840 Michałowski przeniósł się do Bolestraszyc koło Przemyśla, jedynego – po zasekwestrowaniu dóbr, majątku teścia, który otrzymała w administrowanie jego żona – Julia, a z dochodów którego musiał utrzymać całą rodzinę Ostrowskich przebywającą na emigracji.

Biografowie i badacze twórczości Michałowskiego w różny sposób datują lata jego pobytu w Bolestraszycach. Należy przyjąć, że przyjechał on na dłużej do Bolestraszyc w roku 1840 i opuścił je definitywnie najpóźniej w 1848 roku, chociaż w latach 1846-48 zatrudniał administratora, więc jego związki z Bolestraszycami w ciągu dwu ostatnich lat uległy znacznemu rozluźnieniu.

Lata pobytu Michałowskiego w Ziemi Przemyskiej były owocne pod wieloma względami. Bolestraszyce, uważane „za Egipt żyznej ziemi przemyskiej, ale zdziczały w ręku dzierżawców", potrzebowały dobrego gospodarza. Michałowski w krótkim czasie dźwignął majątek ekonomicznie i zaczął inwestować. Badania naukowo-historyczne nad założeniem dworsko-ogrodowym wykazały, iż dwór bolestraszycki powstał właśnie w okresie, gdy Bolestraszycami zawiadywał ten niezwykły człowiek. Nie poprzestał jednak na budowie siedziby, zagospodarował również jej otoczenie, zakładając piękny park. Bolestraszyce stanowiły dla niego pewnego rodzaju oazę, gdzie z dala od ośrodków miejskich, nie pełniąc żadnych funkcji administracyjnych i politycznych, mógł wreszcie zająć się tym, co stanowiło „osłodę jego życia" – malarstwem. Naturalnie, wyjeżdżał wielokrotnie w krakowskie, a także do Francji, ale tutaj powstały jego najciekawsze obrazy i akwarele, nawet reminiscencje z podróży. Przypuszczalnie w budynku stanowiącym pozostałość siedemnastowiecznego zamku (obecnie w trakcie konserwacji) urządził sobie malarnię. Założył również stadninę koni, która dostarczała mu doskonałych modeli do licznych szkiców i obrazów.

Pod względem tematycznym okres bolestraszycki to przede wszystkim portrety ludności wiejskiej (kobiety, chłopi, Żydzi, dzieci artysty), pogłębione psychologicznie, z których najczęściej reprodukowany jest portret Seńki. Kolejną grupę tematyczną stanowią scenki rodzajowe (seria obrazów przedstawiających byki i woły, portrety dzieci jadących wierzchem na kucach i osiołkach). Rzadziej pojawiają się przedstawienia rewii huzarskich i pojedynczych huzarów na koniach. Z lat 1844-1846 pochodzą motywy będące malarskimi reminiscencjami wyjazdów do Francji: konie pociągowe i masztalerze na koniach, motywy orientalne i pejzaże.

Do obrazów powstałych w Bolestraszycach, bądź podczas wyjazdów malarza z Bolestraszyc do Krzyżtoporzyc czy Francji należą: „Portret syna artysty z psem" (Juliusza), „Portret kobiety w czerwonej chustce", „Studium chłopca wiejskiego" (Góralik), „Syn artysty na osiołku" łączony z okresem bolestraszyckim, po 1841 roku. To samo dziecko pojawia się w serii „Portret dzieci artysty na kucu i ośle" z ok. 1842 r. oraz w obrazach „Jeździec na kasztanowym kucu", „Dziecko na ośle", „Dziecko na płowym koniu". „Rajtar" (Jeździec w stroju szwedzkim) na papierze oraz „Rajtar" na płótnie, „Defilada przed Napoleonem", „Studium pięciu Żydów" (Żydzi), „Seńko" (Studium tzw. Seńki), „Szarża w wąwozie Samosierry", obraz olejny na kartonie, „Dwa zaprzęgi pod skałą" (raczej we Francji), „Atak francuskiej artylerii", „Kardynał" (Mężczyzna w birecie), „Hetman Czarniecki na koniu", „Studium portretowe Wiarusa II" (Wiarus II), „Artyleria francuska przy przejeździe przez strumień", „Łeb siwego konia" (Beniszar) i być może: „Portret chłopa w kapeluszu" i „Parobek".

Oprócz wymienionych obrazów istnieje wiele szkiców rysunkowych składających się na tzw. Szkicowniki Bolestraszyckie. Rysunkami pokryte są księgi gospodarcze i notatki osobiste Michałowskiego. Część obrazów została wykonana na płótnie bolestraszyckim, kupionym we wsi, pochodzącym z ręcznych warsztatów tkackich. Jest ono grube, tkane z nierówno przędzonych nitek, pełnych przewężeń i zgrubień.

W Bolestraszycach wiódł więc Michałowski życie gospodarza i człowieka sztuki. Nie lubił zbytnio życia towarzyskiego, czas wolny spędzał z rodziną – z doskonale rozumiejącą go żoną oraz szóstką dzieci. Odwiedzali go tylko nieliczni sąsiedzi, do których należał m.in. artysta amator Maksymilian Oborski, administrator majątku bolestraszyckiego w latach 1846-48, mieszkający na stałe w Sieniawie oraz Leon książę Sapieha z Krasiczyna, dawny kolega z górnictwa.

Stosunki między dworem a ludnością wiejską były poprawne, a Michałowski – skądinąd przeciwnik uwłaszczenia, zawsze szedł z pomocą potrzebującym. Po rzezi galicyjskiej, gdy w Bolestraszycach zapanował głód, Michałowski wspomagał wieśniaków żywnością. Znane są przekazy, poparte dodatkowo szkicami artysty, o kształceniu przez dwór dzieci wiejskich. Nie najlepiej natomiast współżył Michałowski z Żydami, których wprawdzie lubił malować, ale w swoich majątkach nie pozwalał im na prowadzenie karczm. W Bolestraszycach Żydzi „odwdzięczyli się" artyście, wzniecając szereg pożarów.

Piotr Michałowski wielokrotnie wyjeżdżał z Bolestraszyc, m.in. do Francji. W roku 1848 powrócił z Francji już nie do Bolestraszyc, ale do Krakowa. W tym samym roku został prezesem Rady Admnistracyjnej. Oprócz pełnienia prezesury zajął się również pracą charytatywną. W Krakowie założył Zakład św. Józefa dla osieroconych chłopców, na który przeznaczył m.in. dochody z jedynej aukcji swoich obrazów. Wychowankowie kształceni byli przeważnie na ogrodników. Pełnił też funkcję Prezesa Towarzystwa Rolniczego Galicji Zachodniej. Jego staraniem została zorganizowana pierwsza wystawa rolniczo-przemysłowa w Krakowie. Zmarł 9 czerwca 1855 roku.

Urszula Olbromska, ur. w 1957 r.
Historyk sztuki. Mieszka w Przemyślu.

POLITYKA IDEOKRACJI

Rozmowa z profesorem Jarosławem Piekałkiewiczem, autorem książki „Politics of Ideocracy" (State University of New York Press, Albany 1995).

Redakcja: W Polsce doświadczyliśmy kilku typów rządów totalitarnych. Natomiast w swojej książce opisujesz wszystkie istniejące obecnie i w przeszłości na całym świecie. Czym jest „polityka ideokracji"?

Jarosław Piekałkiewicz: Ideokracja jest trochę szerszym pojęciem od totalitaryzmu w rozumieniu klasycznym. Dlatego książka jest o ruchach i systemach politycznych, które dążą do stworzenia idealnego społeczeństwa i które z tego powodu naturalnie odrzucają jakiekolwiek inne rozwiązania. Filozofowie taki pogląd nazywają monizmem...

Red.: Ludzie od samego początku swoich dziejów marzą o sprawiedliwym i wspaniałym społeczeństwie, to chyba normalne.

J. P.: Ale nigdy nic z tego nie wychodziło. Zawsze rezultatem tworzenia takich systemów było i jest zniewolenie człowieka, bo powoduje jego zamykanie się, uniemożliwia wyrażanie ludzkiej twórczości umysłowej, artystycznej, a nawet technologicznej. W dziejach naszej cywilizacji mamy wiele takich przykładów. Była nim grecka Sparta, w której idealnym było społeczeństwo niezwyciężonych wojowników, były państwa tworzone w oparciu o religię, albo całkowicie, albo częściowo: Inkwizycja hiszpańska, kalwinistyczna Genewa w XVI wieku, purytańska kolonia Massachusetts założona w 1620 roku. W XX wieku takimi systemami był komunizm z całą ideą Marksa, następnie faszyzm i nazizm. Do dziś komunizm trwa jeszcze w Chinach i Wietnamie. Nową siłą zmierzającą w podobnym kierunku jest islam fundamentalny, jak w przypadku Iranu, chociaż utrzymały się dwa kraje arabskie naśladujące faszyzm Mussoliniego: Irak i Syria.

Red.: Jeżeli owe twory polityczne doprowadzają zawsze do ograniczania wolności obywatelskich, to dlaczego ludzie tak często im ulegają i garną się do nich? Co stanowi o ich sile?

J. P.: Na początku powstawania ideokratycznego systemu, to jest tuż po rewolucji, może w państwie nastąpić pewien postęp, mogą wystąpić pozytywne zjawiska, jak zniesienie nierówności. Ale ostatecznie dochodzi do zastoju. Te systemy mają wszędzie podobne struktury: wódz, kapłan, który jest zwykle jedyną osobą mającą prawo interpretacji ideologii, podporządkowana mu wyższa kasta przywódców, np. w komunizmie nazywana biurem politycznym partii i dalej hierarchia ta obejmuje całe państwo. Wódz jest nie tylko autorytetem politycznym, ale przede wszystkim ideologicznym. W książce tę hierarchię porównujemy do religijnej. Jednakże zasadnicza różnica polega na tym, że Kościół jest organizacją ludzi wolnych, człowiek może wierzyć, ale nie musi, a w ideokracji tylko musi, nie może dokonywać wyboru, jest zniewolony. Dlatego pisząc np. o fundamentalnym islamie jako ruchu politycznym rozróżniamy go od islamu jako religii.

Red.: Przyjrzyjmy się bliżej tym systemom.

J. P.: Jednym z dwóch pluralistycznych, to znaczy pozwalających na tworzenie i rozwój różnych koncepcji społecznych, kulturalnych itp. jest system autorytatywny, którego przykładem jest wojskowa dyktatura. W Polsce rządy Jaruzelskiego do pewnego stopnia spełniały te kryteria. Charakteryzuje się ona tym, że mieszanie się do polityki jest zabronione, natomiast różnorodność życia w innych sferach: religii, kultury, nauki, gospodarki jest dozwolona. Natomiast niezależne działania polityczne są pacyfikowane przez wojsko. Drugim pluralistycznym systemem jest demokracja. Jej podstawą jest to, że odrzuca ona możliwość istnienia idealnego społeczeństwa. W demokracji stale dyskutuje się, w jakich systemach politycznych mają, czy też powinni żyć ludzie, co trzeba robić, żeby przynajmniej większość była zadowolona. I tu jest ten wielki kontrast między ideokracją, a demokracją. Pierwsza wierzy w możliwość stworzenia siłą idealnego społeczeństwa, druga zakłada, że takie idealne społeczeństwo nie istnieje. W przypadku demokracji można powiedzieć inaczej: owszem, takie „idealne" społeczeństwo jest tym, którego w danym czasie ludzie chcą. Churchill powiedział, że demokracja jest najgorszym systemem z

wyjątkiem wszystkich innych. W demokracji, można powiedzieć, jest zawsze poczucie pewnego bałaganu ideowego, społecznego, politycznego, ponieważ sprawy te załatwia się powoli, bo muszą być przedyskutowane w parlamentach, na innych formach, także lokalnych. A jeżeli mamy już przygotowaną wizję idealnego społeczeństwa, to wiadomo co robić, nie trzeba dyskutować, wysłuchiwać opinii innych, ponieważ wizja jest już stworzona. Ludzie wówczas nie biorą udziału w tworzeniu systemu, stępia się ich uwagę.

Red.: System ideokratyczny istnieje więc jednocześnie jakby na trzech płaszczynach: w sferze władzy, w sferze ekonomii i w sferze ideologii...

J. P.: Ta ostatnia jest dominująca, bo bez względu na formę własności w gospodarce, musi ona służyć temu samemu celowi. W hitlerowskich Niemczech ten prosperował, kto wytwarzał broń i współpracował z reżimem. W Rosji do dzisiaj prosperuje kompleks zbrojeniowy. W Polsce jest podobnie. Nieprawdaż?

Red.: Dodałbym banki i handel zagraniczny. Wpływy te dzielą partie rządzące oraz powiązana z nimi nomenklatura. Utrzymują swoje pozycje dzięki pieniądzom i stanowiskom...

J. P.: Oraz mają dostęp do informacji, mają wywiad umożliwiający im dostrzeganie przyszłości.

Red.: Intryguje mnie rozdział książki zatytułowany „Psychologiczne i kulturowe aspekty ideokracji".

J. P.: Omawia on psyche człowieka. Są bowiem ludzie, którym trudno jest podejmować i potem bronić odpowiedzialnie własnych decyzji i którzy łatwo ulegają narzucanym opiniom. Łatwo więc godzą się na systemy ideokratyczne, w których wszystko jest uregulowane i na wszystko są gotowe odpowiedzi. Człowiek wówczas nie potrzebuje myśleć, maszeruje wraz z innymi...

Red.: W komunizmie to typ człowieka sowieckiego (homo sovieticus).

J. P.: Owszem. Drugi typ to człowiek jak gdyby wewnętrzny, bo z jego wnętrza pochodzi motywacja działania (z angielska interdirected). Jest to człowiek niezależny. To nie znaczy, że jest anarchistą, że nie będzie popierał pewnych poglądów, a wyłącznie wymyślał własne i nie będzie na przykład katolikiem czy muzułmaninem. Ale taki człowiek jeśli podejmie jakąś decyzję, to zrobi to świadomie, zastanawiając się nad jej skutkami i racjami.

Red.: Gdybyśmy dopasowali oba typy ludzi do sytuacji w Polsce powiedzielibyśmy, że pierwsza grupa dziś dominuje. Porównajmy choćby dwie liczby: liczbę katolików (chrześcijan) i procent oddanych głosów w 1993 roku na komunistów, albo ostatnie sondaże wyborcze, w których zwolennicy ideokracji zdecydowanie wyprzedzają innych.

J. P.: Oczywiście! Polska, która podczas wojny stawiła największy opór hitlerowcom, dla której wolność była największą wartością, w Polsce, gdzie było niewielu kolaborantów – w porównaniu choćby z Francją – dziś trudno jest wrócić do tych zasad, do obrony indywidualności uznawanej przed wojną za naszą cechę narodową. Ten rozdział w książce może jest najbardziej interesujący, choć najbardziej skrytykowany przez recenzentów, ponieważ nie analizujemy postaw ludzkich z psychologicznego punktu widzenia, ale przy pomocy przykładów historycznych i trochę w barwach czarno-białych. A przecież w każdym z nas jest mieszanina tych dwóch typów.

Red.: Wydaje mi się, że największą trudność sprawia nam pogodzenie indywidualizmu oraz umiłowania wolności z poczuciem świadomości narodowej, które samo może się wyradzać. A w Polsce dochodzi jeszcze jeden element – religia i Kościół. Katolicyzm i narodowość, te cechy jakby najłatwiej się uzupełniają, najszybciej są kojarzone. Z tego powodu, między innymi, czasem traktowane są instrumentalnie. W tych starciach na drugi plan schodzi owo dążenie do wolności i do demokracji.

J. P.: Jak jest w Polsce obecnie, Ty wiesz lepiej. Zwykle przyczyną są zaburzenia w systemach wartości narodowych, czy też społecznych i mogą odnosić się także do spraw ideowych. Ale globalnie zaburzenia te spowodowane są albo drastycznymi zmianami ekonomicznymi, technologicznymi, naturalnymi (np. zmiana klimatu), demograficznymi (np. bardzo szybki wzrost ludności). Wszystkie one powiązane są z sobą. Jeżeli w danym państwie przyczyny takie występują, wówczas owe normy i wartości utrzymujące równowagę w społeczeństwie przestają funkcjonować. Dla przykładu przy olbrzymim wzroście technologii, trzeba mieć zupełnie inne wykształcenie i gdy wcześniej ktoś ciężko pracujący, np. kolejarz, czy murarz-majster był uznawany w społeczeństwie jako do pewnego stopnia autorytet środowiskowy, to obecnie w świecie wysoko rozwiniętej technologii musi on znać choćby komputery. Innym przykładem jest porównanie, że przy tej samej ekonomii nastąpił znaczny wzrost ludności przy jednoczesnej i drastycznej zmianie podziałów na bogatych i biednych, uczciwych i nieuczciwych. Mówiąc o ekonomii, weźmy przykład inflacji w Polsce: spekulanci, których jest bardzo wielu, wiedzą jak osiągnąć wielkie zyski, a ludzie pracujący solidnie, ale bez znajomości prawideł współczesnej ekonomii ubożeją, odpadają, nie mają wpływu na rozwój sytuacji politycznej. Wówczas w takim państwie zjawia się na „białym koniu" wódz, do którego ci ludzie się garną, ponieważ głosi to, co oni chcą słyszeć.

A on mówi: słuchajcie, ja wam stworzę z powrotem idealne społeczeństwo. Innym bodźcem powstawania systemów ideokratycznych jest po prostu wojna. Ale naród na wojnę musi także poprowadzić jakiś przywódca według idei.

Podczas badań różnych historycznych systemów ideokratycznych zaobserwowaliśmy, że przechodzą one ten sam cykl życia. Początki systemu, które nazwaliśmy „inception", a właściwie poród ideokracji, to zwykle bardzo gwałtowny, rewolucyjny okres zmian, w których ten ideokratyczny ruch pragnie radykalnie i bardzo szybko zmienić całe społeczeństwo, by przystosować je do ideału. Jest to zwykle okres terroru i rozlewu krwi, w którym eliminuje się oponentów uważanych za schorzenia na przyszłym ciele idealnego społeczeństwa. Po nim następuje stabilizacja co oznacza, że energia tego ruchu wyładowuje się i wówczas następuje charakterystyczny czas biurokratyzowania się całego ruchu, czyli zastój. Zaczyna się on od tzw. góry i przechodzi na wszystkie dziedziny życia. Jedynie Niemcy nazistowskie nie dożyły tego okresu. Obecnie przechodzi go Iran. Stagnacja oczywiście przeszkadza postępowi, ale przede wszystkim – co dla takiego systemu powinno być najważniejsze – zaczyna negować sam cel systemu, tworzenie idealnego społeczeństwa. Jednocześnie uniemożliwia usprawiedliwianie potrzeby istnienia systemu, który w konsekwencji zaczyna być coraz mniej praworządny, ponieważ przesłanki i przyrzeczenia, wynikające z głoszonej ideologii już się nie spełniają. To prowadzi do upadku systemu.

Red.: Odnoszę wrażenie, że w Polsce mamy do czynienia z jakąś formą przepoczwarzania się systemu komunistycznej nomenklatury, a nie budowy demokracji. Owszem, są gwarantowane wolności obywatelskie i religijne, i polityczne, odbywają się wolne demokratyczne wybory. Ale prawo nadal jest komunistyczne, nie mamy konstytucji, zwiększa się centralizacja, brak reprywatyzacji, a prywatyzacja jest potworkowata. Owe słabości widać także u naszych sąsiadów. Niektórzy nawet powracają pod opiekę militarną i polityczną onegdajszego hegemona. W jakich kierunkach mogą zmiany te zachodzić?

J. P.: Ja nie jestem takim pesymistą. Ale generalnie są trzy możliwości upadku systemu. Pierwszą jest samodestrukcja, która może pójść z kolei w dwóch kierunkach: albo wojna domowa rozbijająca rządzącą w systemie partię na mniejsze, zwalczające się, albo wojna domowa pomiędzy rządzącymi i opozycją, i przykłady z Węgier, Czechosłowacji, Polski, Ukrainy, Litwy są tu na miejscu. W Rumunii cechą jest to, że komuniści rządzą tam nadal, pomimo rozlewu krwi, którego w pozostałych państwach nie było. Drugim kierunkiem samodestrukcji jest ideokracja zagrażająca innym w momencie swego rozpadu, np. Irak napada na Kuwejt, m. in. po to, by odciągnąć uwagę narodu od problemów wewnętrznych oraz po to, by znaleźć nowego wroga, który będzie jednoczył przed zagrożeniem, będzie nowym celem, jak w przypadku wojny Iraku z Iranem. Przegrana wojna może prowadzić do ataku z zewnątrz i podbicia ideokracji, choć w przypadku Hussejna tak się nie stało. Ale takim przykładem, czasowo krótkim, były Niemcy nazistowskie. Drugą możliwością rozpadu systemu ideokratycznego jest pokojowa erozja, powiedzmy ewolucyjna. Może ona doprowadzić albo do systemu autorytatywnego, np. gdy władzę w Polsce przejął Jaruzelski, albo do demokracji.

Red.: W przypadku Polski widzę niebezpieczeństwo pewnych jak gdyby powtórek z historii. Jaruzelski w 1989 roku oddał władzę w sposób przezeń kontrolowany, korzystając z pomocy wpływowych przywódców „Solidarności". Opozycja już jako współrządca Polski, choć w parlamencie w mniejszości, ale z własnym premierem, zaczęła tworzyć podwaliny systemu demokratycznego. I można powiedzieć, że to był zbyt duży łyk wolności, przebaczania win i tolerancji, dzięki którym postkomuniści powrócili do władzy – demokratycznie wybrani. Ten króciutki okres czasu, w którym tyle wydarzeń politycznych się dokonało, osłabił jeszcze bardziej naszą potrzebę budowy demokracji, natomiast wykorzystali ją komuniści. Można się więc spodziewać prób wprowadzenia z powrotem dyktatury wspartej na wojsku i policji, która następnie wywoła kolejną rewolucję i doprowadzi do stworzenia jakiejś prawicy faszystowskiej, a której hasłem będzie zniszczyć komunistów.

J. P.: Są to prawdopodobne spekulacje i obawiam się, że gniew robotników może pójść w tym kierunku. Ta sytuacja w Polsce koresponduje jeszcze z inną, w sumie trzecią możliwością: regeneracją systemu, czyli jego odrodzeniem. Może on odbudować się niekoniecznie w postaci systemu komunistycznego, ale np. jako faszyzm lub szowinizm charakteryzujący się tym, że struktury mogą być inne, ale najwyższą wyznawaną wartością stanie się naród. Albo może odbudować się z powrotem w komunizm (jak to mówiono? Demokratyczny socjalizm?) na podobnych zasadach, ale będzie unowocześniony, z nową technologią, przebudowany, by być bardziej realnym w stosunku do poziomu życia i relacji międzynarodowych. Ideokracja jest systemem, który nie zanika, i który nam ciągle zagraża.

(Lipiec, 1995 r.)

Jarosław Piekałkiewicz, profesor nauk politycznych Stanowego Uniwersytetu Kansas specjalizuje się w systemach totalitarnych (ideokratycznych) i posiada tytularną godność Odznaczonego Wykładowcy Cywilizacji Zachodniej („od Gilgamesza do przyszłości"). Polak z pochodzenia, z rodziny Jana Piekałkiewicza, Delegata Rządu na kraj. Żołnierz AK i Powstania Warszawskiego, w roku 1991 był doradcą polskiego MSZ, dla którego opracowywał projekt szkoły dla dyplomatów i doradzał przeprowadzenie zmian organizacyjno-kadrowych. Jest autorem (współautorem) kilku książek, m. in.:
– Public Opinion Polling in Czechoslovakia 1968-1969: Results an Analysis of Surveys Conducted During the Dubcek Era, New York 1972,
– Communist Local Government: A Study of Poland, Athens 1975,
– and Christ Hamilton, eds, Public Boureaucracies Between Reform and Resistance: Legacies, Trends and Effects in China, The Soviet Union, Poland and Yugoslavia, Oxford 1991,
– and Alfred Wayne Penn, Politics of Ideocracy, State University of New York Press, Albany 1995.
W lipcu gościł po raz drugi w przemyskim Strychu kulturalnym zaproszony do wygłoszenia odczytu „Sześć lat po okrągłym stole" (patrz: Zamiast Kroniki). Pierwszym razem, w 1991 roku mówił o procesach demokratyzacji życia obywatelskiego w Polsce. Mieszka w Lawrence w stanie Kansas w USA.

Marek Kuchciński

NIE ZEZUJMY W STRONĘ MOSKWY

**(uwagi o polityce lokalnej
i sprawach narodowościowych
w województwie przemyskim w latach 1989-1995)**

Dokładnie 6 lat temu obywatelski ruch Solidarności w Polsce i w województwie przemyskim przeżywał swój największy rozwój. Ale już w ciągu 1990 roku jego polityczne zróżnicowanie spowodowało, że zaczęły zeń wyrastać nowe solidarnościowe stronnictwa. W Przemyskim owo zróżnicowanie przejawiało się w innym podejściu m. in. do kwestii narodowościowej, a szerzej: stosunków polsko-ukraińskich. Ta polityczna nowość, po 50 latach grobowego milczenia, była tym większa, że za naszą wschodnią granicą powstawało niepodległe państwo ukraińskie. Szczególnie w Przemyślu, mieście (i województwie) przygranicznym, poszukiwano recepty właściwego rozumienia i dostosowania się do owych zmian.

Znamiennym tego przykładem były gorące dyskusje w środowiskach solidarnościowo-obywatelskich nad kandydaturą Jerzego Stabiszewskiego, znanego działacza ukraińskiego, do Rady Miejskiej z listy Przemyskiego Komitetu Obywatelskiego w 1990 roku. Wówczas to Zygmunt Wajda (obecnie prezes Stowarzyszenia Własności Polskiej, zaliczanego do środowisk narodowych) oraz niżej podpisany pisemnie rekomendowali tę kandydaturę, forsując ją wbrew opinii wielu przeciwników. Wychodzili bowiem z założenia, że skoro w okresie PRL organizacje mniejszości ukraińskiej były „prowadzone" przez komunistyczne MSW i ubezwłasnowolnione, podobnie jak wiele środowisk opozycji polskiej, to właśnie ruch obywatelski powinien wesprzeć wiarygodnego przedstawiciela Ukraińców. Przykładów podobnego działania było więcej:

1. Lokalna odezwa do grekokatolików w maju 1989 roku, by poparli kandydatów Solidarności w wyborach parlamentarnych.

2. Poparcie dla ukraińskiej szkoły podstawowej w kwietniu 1990 roku, a więc wyprzedzając o kilka miesięcy podobne działania ministerstw warszawskich (m. in. MEN. Ten przykład jest szczególnym. Opisany w numerze wrześniowym (1990 r.) miesięcznika „Spojrzenia Przemyskie" wskazuje, w jaki sposób agendy centralne potrafią skłócać miejscowe środowiska, a przemyscy Ukraińcy łamać wcześniejsze uzgodnienia).

3. Czysto polityczna decyzja solidarnościowego senatora OKP Jana Musiała, który publicznie potępił w 1990 roku w Senacie Akcję Wisła. Decyzja niezwykle ryzykowna dla polityka Ziemi Przemyskiej, przypłacił ją bowiem spadkiem popularności i atakami na Porozumienie Centrum, którego był działaczem. Ale jest to przykład decyzji podejmowanych przez ludzi odważnych i posiadających wolę polityczną stawiania czoła sprawom trudnym.

4. Zgoda w 1991 roku na przekazanie Ukraińcom budynku II LO, dawnego seminarium greckokatolickiego (tu znów nie dotrzymano przyrzeczeń o rezygnacji z wielu roszczeń majątkowych, co solennie reprezentacja ukraińska wówczas deklarowała).

5. Udział polityków PC w negocjacjach z ludźmi „okupującymi" kościół ojców Karmelitów w Przemyślu wiosną 1991 roku w proteście przeciwko oddaniu go biskupowi greckokatolickiemu i ostateczne opuszczenie przez nich kościoła na dwa dni przed przybyciem do Przemyśla Ojca Świętego. Te zakończone sukcesem negocjacje PC rozpoczęło po nieudanych wielokrotnych próbach władz lokalnych i innych wpływowych ośrodków lub polityków (m.in. posła Aleksandra Małachowskiego, czy mec. Siła-Nowickiego). A dotąd skrywaną tajemnicą jest, że ówczesny wojewoda przemyski Jan Musiał zagroził swoją dymisją, jeśli by użyto siły przeciwko ludziom zamkniętym w kościele.

6. Powołanie dra Jerzego Stabiszewskiego na dyrektora Wojewódzkiego Szpitala Zespolonego.

7. Znaczne i częściowo skuteczne wysiłki w organizowaniu przez PC dyskretnych spotkań (negocjacji) Stanisława Żółkiewicza, przywódcy przemyskich sił narodowych, ze wspomnianym Jerzym Stabiszewskim na długo przed „okupacją Karmelu", by szukać kompromisów w narastającym sporze.

8. Warto przypomnieć, że politycy PC pierwsi wystąpili z ideą, by społeczność ukraińska z pomocą Polaków przystąpiła do przerwanej przez zaborcę w XVIII wieku budowy katedry grekokatolickiej. Do tej idei przychylił się ówczesny ordynariusz diecezji przemyskiej, ks. abp Ignacy Tokarczuk obiecując pomoc w tym dziele. Koncepcję tę początkowo (w listopadzie 1990 r.) z wdzięcznością przyjęli jako swoją ks. mitrat Teodor Majkowicz i ówczesny przewodniczący przemyskiego oddziału Związku Ukraińców w Polsce – śp. Jerzy Stabiszewski, po czym dwa tygodnie później wycofali się i rozpoczęli starania o przejęcie kościoła Karmelitów. Było to bezpośrednią przyczyną tzw. „bitwy o Karmel" i pogorszenia lokalnych stosunków polsko-ukraińskich.

Ów Karmel jest elementem symbolicznym stosunków polsko-ukraińskich. Klasztor i kościół, górujący nad Przemyślem wybudowała w XVII wieku dla zakonu ojców Karmelitów rodzina Krasickich. Podczas rozbiorów cesarzowa austriacka, kasując tenże zakon przekazała klasztor z kościołem biskupowi greckokatolickiemu na katedrę. Odtąd, aż do II wojny światowej „Karmel" był miejscem-symbolem Rusinów, a potem Ukraińców. Po wojnie zaś ojcowie Karmelici, narażając się mocno komunistom, kościół odzyskali, ale bez klasztoru. Ten został im oddany w 1991 roku po przyjeździe Ojca Św. do Przemyśla. I ów przyjazd oraz potrzeba spotkania z grekokatolikami w Przemyślu właśnie i w ichniej katedrze-Karmelu, stworzyły sytuację konfliktu, w który zaangażowało się wiele stron: lokalne środowiska narodowe, władze państwowe polskie i ukraińskie, Kościół katolicki obu obrządków (obie kurie biskupie, episkopat, nuncjusz apostolski, zakon karmelitów, Watykan), wierni a szczególnie media i środowiska opiniotwórcze krajowe i zagraniczne. W kulminacyjnym momencie sporu (kwiecień-maj 1991 r.) grupa kilkudziesięciu działaczy środowisk narodowych, w większości wywodząca się z rodzin kresowych, zamknęła się w kościele wymuszając tym rezygnację władz kościelnych z zamiaru przekazania go grekokatolikom. Nie pomogły protesty ukraińskie z zagranicy, protesty i ostrzeżenia biskupa greckokatolickiego J. Martyniaka przed reperkusjami wobec Polaków na Ukrainie. Obrońcy „Karmelu" postawili na swoim, a Ojciec Święty przekazał Ukraińcom na katedrę kościół pojezuicki. Groźby biskupa Martyniaka zaogniły sytuację mocno. Dołożyły się żądania kurii „ruskiej" o zwrot przedwojennej własności w Przemyskiem (różne kamienice, nieruchomości) i od 1991 roku każda praktycznie sprawa „okołonacyjna" staje się jednocześnie konfliktową. Pomimo to, powyższe przykłady świadczą jednoznacznie o stosunku centrowego nurtu środowisk solidarnościowo-obywatelskich do spraw ukraińskich. Zastanawiające jest, że wpływowe ośrodki i opiniotwórcze w kraju i za granicą postrzegają owe problemy przez pryzmat postaw przede wszystkim radykalnych, zarówno proukraińskich jak i antyukraińskich, w kontekście tak oczywistych faktów jak interesy rosyjskie.

Obecnie toczy się ciągła, jak gdyby „podskórna dyskusja", w środowiskach opozycji politycznej nie tylko nad techniczną stroną poszczególnych problemów, ale także debata ideowa. Dotyczy ona rozumienia takich pojęć jak patriotyzm, nacjonalizm, niepodległość... czyli rozumienia polskiej racji stanu. To jeden z kluczowych problemów, którego dobre rozpoznanie ułatwiłoby rozumienie dość skomplikowanej historycznie kwestii narodowościowej nie tylko w Przemyskiem. Na przykład, „obrońcy Karmelu" często bywali nazywani szowinistami, choć nie ma w zasadzie dowodów na dyskryminację mniejszości z ich strony, aczkolwiek wykazują oni postawę bezkrytycznego stosunku do narodu własnego i sami zastrzegają sobie wyłączność na patriotyzm. Natomiast z drugiej strony postawy czysto patriotyczne, czyli miłowanie własnego narodu bardziej, aniżeli sąsiadów, określane są przez środowiska ukraińskie i filoukraińskie jako nacjonalistyczne.

Trzeba by ową kuluarową dyskusję terminologiczną publicznie wyartykułować (unikając epitetów pejoratywnych) i podsumować podręcznikowo na użytek tworzącej się współczesnej polskiej myśli politycznej. Pojęcie patriotyzmu powinno być dzisiaj rozumiane głębiej i „szerzej" aniżeli odnoszenie się wyłącznie do tradycji historycznej, jednonarodowej, ponieważ narazilibyśmy siebie oraz narody sąsiednie na wzajemne targi o „korzenie z przeszłości" (czym najbliższy Przemyśla wschodni sąsiad ponad miarę szermuje). Ograniczenie to stawia nas przed dwoma, dziś nie przedyskutowanymi dogłębnie problemami. Po pierwsze, czy wyłącznie polski patriotyzm ma monopol na całą rzeczypospolitańską tradycję? Także z czasów przedrozbiorowych, którą postrzegano (i w wielu środowiskach nadal postrzega się) jako Rzeczypospolitą Obojga, a nawet Trojga Narodów? Po drugie, czy dzisiaj patriotyzm postrzegany jako prawo do tradycji monoetnicznej automatycznie nie zawęża naszych, polskich możliwości oddziaływania na sąsiadów i asymilowania od nich tego, co w ich kulturze cenne, co automatycznie stawia nas na pozycjach „pierwotnych" czyli okopania się wokół własnych żądań i ambicji? Czy nie zarzucamy tym samym kilka wiekow wspólnej z sąsiadami historii, wspólnych obyczajów i kultury, z której, obok sarmackiej, czerpała nasza powstańcza, romantyczna i narodowotwórcza idea? I czy nie trudno wówczas bronić się przed politycznym zarzutem kapitulanctwa, kompleksów i braku dalekowzroczności? W konsekwencji bowiem ułatwiamy traktowanie instrumentalne całej Europy Środkowej przez mocarstwa światowe. Dziś monoetniczny patriotyzm zbliża nas bardziej do postaw nacjonalistycznych, aniżeli przygotowuje Polaków (a właściwie w pierwszym rzędzie narody sąsiednie) do wyzwań współczesności. Takim wyzwaniem jest nieuchronna jak sądzę, tendencja do jednoczenia Europy. I zadaniem naszym powinno być wpływanie na formę owego jednoczenia: Europa centralnie zbiurokratyzowana i kosmopolityczna, czy Europa Ojczyzn? W Przemyślu, czyli na współczesnych Kresach Rzeczypospolitej, pojęcie patriotyzmu, nacjonalizmu, europejskości weryfikują fakty polityczne: spory o pomniki UPA, rewindykacje ukraińskie oraz informacje o ciągle trwającym jeszcze niszczeniu zabytków polskich na Ukrainie. Naszą specyfiką jest łączenie frontu z misją: z jednej strony stanowcza obrona tożsamości polskiej i polskiego stanu posiadania, a z drugiej przekonanie, iż bliższy nam powinien być sąsiad Rusin (choć bez porównywalnie boga-

tej tradycji i zamykający się często w niezrozumiałym nacjonaliźmie), aniżeli Moskal z azjatycką ambicją hegemona.

Środowiska znaczące w lokalnym życiu publicznym nadal różnią się w ocenie spraw narodowościowych. Ten problem nie obejmuje całego województwa, ale wpływa na jego obraz i w pewnej mierze na międzynarodowe stosunki polsko-ukraińskie. Trzeba także pamiętać o kolejnym czynniku znacznie komplikującym właściwe postrzeganie owych spraw: o pozycji i roli instytucjonalnego Kościoła katolickiego dwóch jednocześnie obrządków (rzymskokatolickiego i greckokatolickiego, czyli cerkwi bizantyjsko-ukraińskiej). W powszechnej opinii starania kurii biskupiej „ruskiej" o zwrot przedwojennej własności w Przemyślu i okolicznych gminach postrzegane są jako roszczenia ukraińskie.

Pamiętając o tym, trzeba by wyróżnić dwie płaszczyzny polityczne problematyki: stosunek lokalnych środowisk do państwa ukraińskiego i całego narodu oraz ocenę polityki narodowościowej rządów warszawskich w województwie i całym kraju. Obie one nakładały się w ciągu 5 lat zależnie od sytuacji i wydarzeń, wywołując mocne tarcia w łonie opozycji. Przykładem jest atakowanie wojewodów przemyskich: Jana Musiała (PC) w 1992 roku i Adama Pęzioła (UW) w 1993 roku. Ale bywało, że jednoczono siły. Dobrym przykładem jest samorząd przemyski, gdzie od 1994 roku współpracują z sobą radni Forum Wyborczego (politycznie związanego z Unią Wolności) i Przymierza skupiającego cały nurt chrześcijańsko-demokratyczny od Solidarności, PC, ZChN, KK, ChDSP po KPN i różne stowarzyszenia bliskie ideowo. Ba! W pierwszym okresie roku 1994 udało się nawet ściągnąć do Przymierza środowiska narodowe, to znaczy kilka stowarzyszeń kresowych, kombatanckich i społecznych współdziałających od czasu sporu o „Karmel". Jednak na krótko. Od 1994 r. do 1995 r. grupa tych organizacji atakowała wszystkie ważniejsze przemyskie ośrodki polityczne, z wyjątkiem (rzecz znamienna!) komunistów.

Jak to rozumieć? Można zaobserować pewien mechanizm powtarzający się po obu stronach granicy państwowej. Otóż we Lwowie część ukraińskich sił nacjonalistycznych (niektóre z nich personalnie powiązane są z komunistami) od ok. dwóch lat przeniosła swoje ataki z mniejszości polskiej, żydowskiej etc., na demokratycznie wybrane lokalne władze Lwowa, wywodzące się z opozycji antykomunistycznej. Podobnie w Przemyślu, środowiska zwące siebie „obrońcami polskości Przemyśla" nie przebierały w środkach, atakując władze samorządowe miasta, stronnictwa centroprawicowe (szczególnie PC), arcybiskupa i nawet obecnego wojewodę (rekomendowanego przez PSL!). Tajemnicą poliszynela były (w 1994 i 1995 r.) ich kontakty z politykami SLD i ludźmi ekskomunistycznego aparatu władzy. Współpracę z eks-komunistami niektórzy działacze owych środowisk podejmowali wg zasady: łączyć się trzeba nawet z komunistami (o ile są to Polacy), byleby przeciwko Ukraińcom. Jeżeli przypomnimy sobie niedawne wybory do parlamentu Rosji i zwycięstwo nacjonalistów i komunistów, można zapytać, czy działacze przemyscy zdają sobie sprawę z owych podobieństw?

Jakie są przyczyny owych ataków? Pewną rolę odgrywa tu kwestia ambicji osobistych. Ważne są również więzi towarzyskie, znajomości trwające lata całe poprzez wspólną pracę w tych samych instytucjach i urzędach, wspólne zainteresowania.

W opisywanych sprawach środowiska opozycyjne można podzielić najprościej na trzy obozy: radykalny (skupia część dawnej (?) nomenklatury komunistycznej i stowarzyszenia kresowe, obóz środka tworzony wokół centroprawicowego Przymierza (którego w samorządzie przemyskim głównymi przedstawicielami są: prezydent miasta Tadeusz Sawicki, przewodniczący Rady Miejskiej Andrzej Matusiewicz i kierująca Klubem Radnych Przymierze Dorota Mech) i niektórych działaczy oraz sympatyków Unii Wolności oraz obóz ugodowców skupiający UW, środowiska ukraińskie oraz bliskie im instytucje i stowarzyszenia (np. Instytut Południowo-Wschodni Stanisława Stępnia).

Zasadniczo różnice pomiędzy tymi obozami dotyczą dwóch kwestii. Po pierwsze, Przymierze stara się utrzymać pewien poziom kultury politycznej i stosować demokratyczny mechanizm wyłaniania władz (np. władz miasta Przemyśla). Wiąże się to z krytycznym stosunkiem do całej tradycji PRL, również w sprawach personalnych. Dwa pozostałe obozy nie stawiają zasadniczo granicy dla okresu PRL (np. kwestia tzw. grubej kreski lub dekomunizacja). Po drugie, podejście centroprawicy do spraw narodowościowych jest inne, może bardziej racjonalne. Dla Przymierza Ukraina nie jest zagrożeniem. Wprost przeciwnie, jej niezależność wzmacnia bezpieczeństwo państwa polskiego. Zwiększa również możliwości rozwoju gospodarczego naszego województwa. A stąd ocena stosunków polsko-ukraińskich musi być inna. Sprzeciw budzą hasła ekstremalnego nacjonalizmu typu: „Przemyśl dla Polaków", bo żyjemy w Polsce. Przymierze nie ulega teoriom opanowania Przemyśla przez agentów OUN-UPA (co podkreślają radykałowie), bo nie ma wystarczających dowodów ich obecności we władzach miasta i w wojewódzkich urzędach (chociaż istnieją obawy co do postępowania poszczególnych urzędników w tych instytucjach). Ponadto tego typu metody skłócania różnych stronnictw przez zaborców stosowano od wielu stuleci. Po prostu Przymierze nie zezuje w stronę Moskwy. Ugodowcy w tym względzie mają podobną opinię. Radykałowie natomiast jako zasadniczą stawiają (często nie bez racji) sprawę obsady personalnej instytucji państwowych i samorządowych. W tym m. in. widzą niebezpieczeństwo „ukrainizacji" Przemyśla.

Przed paru laty antyukraińską rzekomo postawę organizacji dziś skupionych w Przymierzu wykreowały same media, przy znacznej pomocy części środowisk ukraińskich krajowych i zagranicznych (oraz tzw. ugodowców). Do dziś bowiem co jakiś czas diaspora ukraińska z Toronto przysyła do Przemyśla „oryginalne" listy traktujące ziemie nad Sanem jak Niemcy przed drugą wielką wojną

Gdańsk. Ktoś przyzwyczajony do obelżywego traktowania puści je mimo uszu. Na szczęście do takich obecny prezydent miasta, przewodniczący Rady Miejskiej, ani inni politycy Przymierza nie należą. Opinię przemyskiej centroprawicy kreowano także na podstawie jej stosunku do roszczeń majątkowych grekokatolików, Euroregionu Karpaty, czy festiwalu kultury ukraińskiej z roku 1995. Jednakże każda z tych spraw odnosi się do innej materii, ale z pewnością nie antyukraińskiej. Centroprawica protestuje przeciwko błędnym jej zdaniem decyzjom rządu warszawskiego, który kosztem spraw przemyskich usiłuje prowadzić politykę z naszym wschodnim sąsiadem. Nie godzi się na olbrzymie apetyty rewindykacyjne jak oddanie gmachu Muzeum Narodowego, wielu kamienic i placów w mieście itp. I chociaż jest to sprawa niezwykle delikatna, bo odrębnych umów zawartych pomiędzy rządem, a Kościołem katolickim (w sejmie PRL ustawa przyjęta 17 maja 1989 r., jest jakby „trojańskim podarunkiem"), grozi ona zachwianiem proporcji i zdaniem wielu działaczy godzi w interesy miasta i województwa. Nie trzeba zbytniej wyobraźni, by przewidzieć sytuację, że gdyby doszło do utworzenia w Przemyślu uniwersytetu ukraińskiego i konsulatu, dla których trzeba wielu budynków i nieruchomości, Przemyśl stałby się głównym ośrodkiem ukraińskim poza granicami byłego ZSRR. Bliższa byłaby wówczas powtórka z Belfastu lub Bośni (a z pewnością nie byłby to „spokojny" Tyrol). Czy obecnie mamy narażać się na takie niebezpieczeństwo? Tym bardziej, że tereny po „Akcji Wisła" mogą być nową płaszczyzną konfliktu.

Przymierze nie godzi się także na milczące przyzwolenie stawianiu pomników UPA, bo niektóre jej formacje były zbrodnicze. Ponadto krytykuje odgórne narzucanie takich pomysłów jak Euroregion, czy festiwal ukraiński (bez względu na intencje pomysłodawców), jeżeli odpowiednio wcześniej lokalna opinia publiczna nie zostanie do nich przygotowana, bo świadczy to o arogancji władzy. Ostatnim jej potwierdzeniem jest „mentalne"podejście jednego z „akuszerów" Euroregionu Karpaty, Romana Kuźniara, ministra pełnomocnego RP przy ONZ w Genewie. W wywiadzie dla „Gazety Wyborczej" (20.01.1996 r.) mówi on, że „trzeba pomagać procesowi wzajemnego przebaczania", jak chodzi o zaszłości historyczne polsko-ukraińskie i o tym, że studiował „historię ponad trzydziestu euroregionów zachodnioeuropejskich". Ale nie komentuje problemu „siłowego" i odgórnego wprowadzania takich pomysłów na grunt polski (przemyski). Z warszawskiego punktu widzenia realia polityczne są inne, z przemyskiego inne. I ta różnica (perspektywa) jest chyba przyczyną wielu nieporozumień „okołonacyjnych". Środowiska i lokalni politycy związani z Unią Wolności prezentują bardziej ugodową politykę w tych kwestiach. Dlatego często określani są przydomkiem ukrainofilów, a w kręgach radykałów oskarżani wręcz o sprzyjanie „ukrainizacji" Przemyśla.

Wyłania się tutaj problem bardziej generalny, o czym m. in. mówił w Przemyślu dr Zdzisław Najder w marcu 1994 roku zaproszony przez Strych kulturalny: nieuchronna sprzeczność pomiędzy interesami społeczności lokalnej a interesami Rzeczypospolitej jako całości. *„... Konflikty muszą być nabrzmiałe szczególnie na styku ludnościowym i historycznym; interes ogólny wymaga, by nie przesłaniały one stosunków między państwami i narodami. (...) Kresowiacy zawsze byli i będą pierwszymi, którzy muszą bronić państwa; wszyscy mają wówczas obowiązek przyjść im z pomocą, ale to nie zmienia faktu, że na nich idzie najcięższe uderzenie; i ciż sami Kresowiacy zawsze będą najsilniej odczuwać na własnej skórze to, że w interesie państwa jako całości leżą dobre stosunki z sąsiadem.*

Do tego dochodzi dzisiaj fakt zasadniczy: Polska potrzebuje dzisiaj niepodległej Ukrainy i musi zrobić jak najwięcej, aby w utrzymaniu niepodległości pomóc... ". Z opinią dra Najdera wypada jedynie zgodzić się dodając, że doświadczenie wskazuje, iż każdy konflikt narodowościowy, lokalny lub nie, sprowokowany lub nie, Rosjanie wykorzystują dla swoich celów.

Zasady polityki narodowościowej w województwie przemyskim centroprawica oparła na opracowanych przez Porozumienie Centrum trzech tezach (Uchwała Zarządu Wojewódzkiego PC z 16.11.1992 r.). Po pierwsze, wszelkie problemy stosunków polsko-ukraińskich na lokalnym szczeblu powinny być rozwiązywane w ramach negocjacji pomiędzy przedstawicielami lokalnych środowisk. To gwarantuje najtrwalsze i najbardziej pragmatyczne rozwiązania oraz wyprzedza niebezpieczeństwo powstawania konfliktów. Po drugie, potrzeby każdej społeczności lokalnej powinna wyznaczać jej liczba. W przypadku obywateli polskich pochodzenia ukraińskiego mają oni w Przemyskiem aż nadto wystarczające warunki do realizacji swoich zamierzeń: szkołę podstawową i liceum ogólnokształcące z ukraińskim językiem nauczania utrzymywane z budżetu państwa, kamienicę wykorzystywaną do działalności tychże środowisk, katedrę biskupią przekazaną przez Ojca Świętego, seminarium, trzy cerkwie (w tym dwie prawosławne), kilkanaście innych nieruchomości publicznych i kościelnych. Po trzecie, niezbędna jest wiarygodność partnerów. Doświadczenia roku 1990 i 1991 wskazują, że przedstawiciele społeczności ukraińskiej (greckokatolickiej) nie zawsze są wiarygodnymi. Nie dotrzymywali bowiem uzgodnionych warunków. Jak dotąd lokalne środowiska ukraińskie często usiłują załatwiać swoje sprawy bezpośrednio na szczeblu centralnym w Warszawie. Stwarzają tym samym sytuacje konfliktowe. Wcześniej wymienione przykłady dobitnie na to wskazują.

Liczbę przemyskich Ukraińców (a więc i ich potrzeby) potocznie określa się liczbą wiernych obrządku greckokatolickiego i prawosławnych. W Przemyślu i okolicach mieszka ich około 2000. Zaangażowanie polityczne mniejszości wygląda jeszcze mizerniej: w wyborach samorządowych 1990 roku na tę listę w Przemyślu głosowało około 300 osób, to jest 1,4% (dla porównania na listę solidarnościowego komitetu obywatelskiego głosowało blisko 17000 osób, co dało prawie wszystkie mandaty radnych,

w tym jeden dla wspomnianego działacza ukraińskiego, Jerzego Stabiszewskiego); w wyborach parlamentarnych 1991 roku wojewódzką listę mniejszości poparło ok. 1300 wyborców (1%). W innych kampaniach wyborczych w ogóle nie byli rejestrowani. W wielu środowiskach istnieją obawy, że pomoc jaką w Przemyskiem Ukraińcy otrzymują od rządu warszawskiego i z zagranicy może znacznie zwiększyć ich liczbę, poprzez migracje z innych części kraju, bowiem pomoc materialna ułatwia organizowanie się każdych środowisk.

Czy więc dla centroprawicy przemyskiej istnieje poważny lokalny problem narodowościowy polsko-ukraiński? Powyższe liczby wskazują brak niebezpieczeństwa. Ale w wymiarze politycznym staje się on problemem ze względu na przesadne ingerowanie w sprawy lokalne różnych zewnętrznych czynników: polskich i ukraińskich zarówno rządowych, jak i politycznych, mediów goniących za sensacjami, diaspory ukraińskiej i innych ośrodków międzynarodowych zajmujących się podobną problematyką. Ze strony tych ostatnich mechanizm działania podobny jest do interwencji w zacofanych regionych tzw. trzeciego świata: najpierw wywoływany jest tam konflikt, głód, bieda, a następnie organizowana jest tzw. pomoc humanitarna przez syte i bogate społeczności, wspierające fundacje międzynarodowe i inne charytatywne przedsięwzięcia. Często jednak bywa, że za tymi akcjami kryje się po prostu walka o wpływy i rynki gospodarcze na terytoriach „nieskolonizowanych", nie należących dotąd do wolnego demokratycznego świata. Europa środkowa, ze względu na powstawanie nowych, zacofanych gospodarczo państw, jest dla owych sił interesującym obiektem działań.

Wymienione czynniki polityczne nie zauważają faktów, że problemy stosunków polsko-ukraińskich w Przemyskiem były poprawne, gdy dochodziło do porozumienia przede wszystkim na lokalnym szczeblu w sprawach spornych, jak wcześniej wymienione, albo gdy nowe inicjatywy, np. kulturalne, są uzgadniane z lokalnymi władzami i liczącymi się środowiskami. Ostatnimi z roku ubiegłego przykładami są: przegląd filmów o mniejszościach narodowych „U siebie", któremu patronował prezydent miasta Przemyśla Tadeusz Sawicki oraz konferencja samorządowa polityków lwowskich i przemyskich (pomysł narodził się w kręgach Przymierza), w której udział brali przedstawiciele największych centroprawicowych sił politycznych Zachodniej Ukrainy (RUCH, Kongres Ukraińskich Nacjonalistów), a z polskiej strony samorządowcy z Przymierza i Forum.

Istnieje więc uzasadnione przekonanie, że centralne ośrodki władzy w kraju traktują, mimo wszystko, zbyt instrumentalnie lokalne kwestie narodowościowe w kontekście szerszej polityki i „opędzają" się przed protestami, przyzwalając jednocześnie, by niezadowolonym z takiego obrotu spraw imputowano szowinizm, zaściankowość, ksenofobię.

Dominującym w Przemyskiem stronnictwom centroprawicowym problemy narodowościowe nie przesłaniają wizji racjonalnego układania stosunków polsko-ukraińskich przy obopólnej zgodzie, iż przemyscy Ukraińcy jako obywatele polscy wobec państwa mają obowiązki jak wszyscy, ale także prawo, by oczekiwać wsparcia, ze strony państwa, równego z innymi grupami społecznymi. A tu można by podać wiele przykładów stawiających ich lojalność pod dużym znakiem zapytania (choćby treść artykułów i książek autorów ukraińskich publikowanych w Polsce i za polskich podatników pieniądze).

Oznaki rodzącego się konfliktu pojawiły się w drugiej połowie 1990 roku, kiedy to okazało się, iż rząd przyjął politykę wielkiej finansowej i rzeczowej pomocy dla mniejszości, rezygnując z zasady wzajemności ze strony władz ukraińskich wobec Polaków na Wschodzie, a swą działalność traktując jako „inwestycję polityczną" (podobnie jak potępienie Akcji Wisła). Jednakże w konsekwencji powstały widoczne nierówności: mniejszościowe grupy społeczne wywyższono, a w Przemyskiem problem ów skoncentrował się najmocniej. Nastąpiły protesty, oskarżanie rządu o prowokowanie konfliktów, zarzuty wobec wojewodów, władz miejskich, kurii arcybiskupiej etc. Wielokrotnie już kontestowano jedną z głównych zasad (od 1990 roku) polityki wschodniej polskiego MSZ polegającą na tym, że polskim celem jest wspieranie budowy demokratycznego ustroju w państwach sąsiednich, także na Ukrainie. Kontestowano nie tyle samą słuszną zasadę, ile jej skuteczność i koszty, jakie wewnętrznie państwo polskie ponosi. Do nich bowiem zalicza się ułatwianie sytuacji konfliktogennych w Przemyskiem i wydawanie ogromnych funduszy dla mniejszości narodowych w kraju. Obecnie sprawa oceny skuteczności polityki rządu w latach 1989-1993 i dbania o interesy polskie na Ukrainie staje się zasadniczą.

Przemyśl dla Ukraińców zdaje się być miejscem symbolicznym. I dla każdego narodu budującego swe niepodległe państwo poszukiwanie symboliki kulturotwórczej jest niezwykle istotne. Ale to problem Ukraińców w pierwszym rzędzie. Natomiast z przemyskiego punktu widzenia istotną kwestią jest wyważanie proporcji, a więc umiejętność dochodzenia do politycznych kompromisów jak najkorzystniejszych dla narodu i państwa, z uwzględnieniem lokalnych opinii.

Zasadnym jest pytanie o granice norm dyplomatycznych, poza którymi trzeba by sąsiadów wschodnich oskarżać o mieszanie się w wewnętrzne sprawy Polski. Bo jak inaczej rozumieć interwencje ambasadora Ukrainy w sprawy przemyskie (festiwalu kultury ukraińskiej, finansowanego w całości z polskich funduszy – 1 miliard złotych)? Jak oceniać delegacje ukraińskie, które współpracę z Przemyślem warunkują kwestiami mniejszości ukraińskiej? Jak oceniać lokalne środowiska ukraińskie i greckokatolickie grożące publicznie reperkusjami wobec Polaków na wschodzie? Jak rozumieć milczącą postawę dyplomacji polskiej w tych zasadniczych politycznie sprawach? A trzeba pamiętać, że mieszkańcy województwa to w 30 procentach rodziny repatriowanej cywilnej ludności kresowej lub uciekającej przed okrutną śmiercią z rąk zbrojnych formacji ukraińskich ludności, która z reguły osiedlała się tymczasowo blisko granicy z myślą o powrocie w rodzinne strony. Środowiska radykalne w tej właśnie grupie społecznej mają najmocniejsze oparcie. Blisko połowa rodzimej ludności przemyskiej doświadczyła wojen z UPA i różnymi zwykłymi bandami zbójeckimi. Z tą kwestią łączy się jeszcze inny problem: oddzielenia – i to bardzo wyraźnego – środowisk ukraińskich nacjonalistów, lansujących ideologię totalitarną od całego narodu ukraińskiego. Problem to trudny ze względu na jego nikłą znajomość. Nazizm, faszyzm, po części komunizm są poznane i osądzone. Ludobójstwo ukraińskich nacjonalistów jest dość niezrozumiale pomijane dotąd przez czynniki rządowe. Trudno więc się dziwić, że milczenie odbierane jest przez te środowiska jako przyzwolenie na działalność (stawianie pomników, organizowanie zjazdów kombatanckich etc.).

Dziś ludzie z Kresów często stawiają pytanie, w jakim zakresie Lwów i Kresy mają być dla nas symbolem polskości. Czy wyłącznie metaforą? Trudno więc się dziwić i ich pretensjom do rządu niepodległego państwa ukraińskiego za to, że nie dba o milionową mniejszość polską, że dopuszcza, by symbole polskiej kultury, cenniejsze od wszystkich innych na ziemiach kresowych były ciągle niszczone. Jeszcze trudniej się dziwić pretensjom kierowanym do rządu warszawskiego, że po macoszemu traktuje sprawy polskie na Ukrainie, a w kraju przyzwala na odradzanie się pamięci o ludobójstwie.

Ale kierując się takim tokiem rozumowania automatycznie stawiamy problem stosunków polsko-ukraińskich w sferze permamentnego konfliktu. Towarzyszą mu wielkie ludzkie emocje, nie zabliźnione rany i pamięć, że w tej sprawie dotąd sprawiedliwości nie stało się zadość. Nawet tej zwykłej moralnej: przyznanie, że każdy naród bierze odpowiedzialność za postępowanie swoich dużych grup społecznych, także formacji zbrojnych.

Styczeń 1996 r.

Marek Kuchciński, Przewodniczacy Przemyskiego Komitetu Obywatelskiego (1990-1992).
Członek KO przy Lechu Wałęsie. Prezes Zarządu Wojewódzkiego Porozumienia Centrum (1990-1996), członek Zarządu Głównego i Naczelnej Rady Politycznej PC.

MNIEJSZOŚĆ UKRAIŃSKA W WOJEWÓDZTWIE PRZEMYSKIM

pomoc finansowa (i inna) udzielana z funduszy rządowych i samorządowych

1989 r.

– z Wojewódzkiego Funduszu Rozwoju Kultury na remont cerkwi ..... 36 mln zł,

1990 r.

– z budżetu Wojewody Przemyskiego na remont 25 zabytków ukraińskich ..... 589 mln zł,

1991 r.

5 miliardów 30 milionów zł, w tym:

– z budżetu Wojewody na remont 4 cerkwi ..... 90 mln zł,
– z budżetu innych instytucji państwowych na remont 5 cerkwi ..... 976 mln zł,
– na edukację ..... 3 154 mln zł,
w tym: remont budynku dla Szkoły Podstawowej nr 17 w Przemyślu ..... 1 581 mln zł,
utrzymanie SP Nr 17 ..... 1 573 mln zł,
(utrzymanie 1 ucznia: 517 000 zł miesięcznie, w innych szkołach 204 000 zł miesięcznie)

1992 r.

1 miliard 279 mln zł, w tym:

– z Funduszu Kościelnego na remont 1 cerkwi ..... 130 mln zł,
– z Funduszu Kultury Polskiej na remont cerkwi w Gorajcu ..... 85 mln zł,
– z budżetu Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków na dokumentację ..... 14 mln zł,
– z budżetu Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków na dokumentację cmentarzy ..... 30 mln zł,
(259 mln zł razem; roczny budżet Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków 223 mln zł)
– na edukację ..... 920 mln zł,
w tym: remont budynku SP Nr 17 i zakup opału ..... 101 mln zł,
koszty utrzymania SP Nr 17 ..... 819 mln zł,
(utrzymanie 1 ucznia: 470 000 zł miesięcznie, w innych szkołach 204 000 zł)

1993 r.

1 miliard 617 mln zł, w tym:

– z budżetu Woj. Konserwatora Zabytków na remont cerkwi ..... 1 216 mln zł,
w tym: .. dzwonnica w Torkach (obecnie Chotyńcu), cerkwie w Gorajcu, Łuczycach, Bruśnie Nowym, Łukawcu)
– z bodżetu Woj. Kon. Zab. na remont cerkwi prawosławnej w Kłokowicach) ..... 11 mln zł,
– z budżetu Woj. Kon. Zab. na dokumentację i remont 2 zabytkowych cmentarzy w Radrużu i Bruśnie Starym ..... 50 mln zł,
..... (roczny budżet Woj. Kon. Zab.: 2958845000zł)
– z budżetu Kuratorium Oswiaty i Wychowania na utrzymanie SP 17 ..... 340 mln zł,
(koszt utrzymania 1 ucznia 563000zł, w innych szkołach 425000zł),

1994
7 miliardów 153 miliony 10 tys. zł, w tym:

– z budżetu Wojewódzkiego Konserwaora Zabytkow ..... 2870 mln zł,
w tym:
na konserwację Ikonostasu w muzeum w Lubaczowie, przekazanego kurii biskupiej „ruskiej" ..... 500 mln zł,
na remont 9 cerkwi ..... 2300 mln zł,
na dokumentację cmentarzy i cerkwi ukraińskich ..... 70 mln zł,
(cały budżet roczny Woj. Kon. Zab. wyniósł 7 616 573 000 zł)
– z budżetu Wojewody przekazano:
na remont siedziby oddziału woj. Związku Ukraińców w Polsce ..... 150 mln zł,
na konferencję „Przemyśl i Ziemia Przemyska" zorg. przez ZUP ..... 10 mln zł,
na koncerty muzyki bandurowej organizowane przez ZUP ..... 10 mln zł,
dla zespołu „Dibrowa" z Chotyńca ..... 4,5 mln zł,
na występy zespołów z Ukrainy w Centrum Kulturalnym ..... 132 mln zł,
na występ Teatru Wielkiego ze Lwowa ..... 38 mln zł,
na wystep zespołów folklorystycznych ukraińskich w Jarosławiu ..... 20 mln zł,
Ponadto należy doliczyć sumę około: ..... 2000 mln zł,
za: zakup ukraińskich książek do Wojewódzkiej i Miejskiej Bibloteki Publicznej
na potrzeby Szkoły Podstawowej ukraińskiej, przystosowanie owej biblioteki
do podobnej działalności merytorycznej, remonty konserwatorskie zbiorów
sztuki cerkiewnej w muzeach w Przemyślu i w Lubaczowie, dalszy remont cerkwi
w Posadzie Rybotyckiej i zatrudnienie pracownika na 3/4 etatu do pilnowania cerkwi.
– na edukację, z budżetu Rady Miejskiej w Przemyslu, na utrzymanie SP Nr 17
– 150 dzieci ..... 1 918 510 000 zł,
(koszt utrzymania 1 ucznia: 792 000 zł, w innych szkołach średnio 465 000 zł),

1995 r.
12 miliardów 593 miliony 60 tys. zł (1 259 306 zł nowych), w tym:

– z budżetu Woj. Kon. Zab. na cerkiew w Cewkowie ..... 28 mln zł,
– z budżetu Wojewody:
dla Zw. Ukr. w Polsce (oddział przemyski) na zakup książek i prasy ..... 40 mln zł,
na koncerty zespołów ukraińskich ze Lwowa ..... 50 mln zł,
na sesję poświęconą gimnazjum ukraińskiemu w Przemyslu ..... 50 mln zł,
na dni muzyki bandurowej ..... 50 mln zł,
na organizację festiwalu kultury ukraińskiej (w tym 700 mln zł dotacji centralnej z Warszawy) ..... 1 000 mln zł,
na imprezy ukraińskie organizowane przez Centrum Kulturalne,
na przedsięwzięcia muzealne i konserwatorskie
oraz Wojewódzkiej Biblioteki w Przemyslu ..... 2 000 mln zł,
– na edukację ..... 9 375 mln 60 tys. zł,
w tym: z budżetu Rady Miejskiej w Przemyslu:
– koszt utrzymania szkoły podstawowej – 150 dzieci ..... 2 313 mln 900tys. zł,
(koszt utrzymania 1 ucznia: 1 163 000 zł miesięcznie, w innych szkołach średnio 652 100 zł)
z budżetu Ministerstwa Edukacji Narodowej:
na rozbudowę Sp Nr 17 dla utworzenia liceum ..... 7 000 mln zł,
z budżetu Kuratorium Oświaty i Wychowania:
koszt utrzymania 16-osobowej klasy licealnej IX-XII'95 ..... 61 mln 160 tys. zł,

1996 r.
2 miliardy 770 milionów zł:

– dotacja Rady Miejskiej w Przemyslu dla SP Nr 17
(koszt utrzymania 1 Ucznia: 1 416 000 zł miesięcznie, w innych szkołach średno 885 000)

BUDŻET BIURA DS. KULTURY MNIEJSZOŚCI NARODOWYCH W 1995 R.
(PRZY MINISTERSTWIE KULTURY I SZTUKI)

– 170 000 zł nowych ..... finansowanie tygodnika „Nasze Słowo" wydawanego przez Związek Ukraińców w Polsce,
– 210 200 zł nowych ..... finansowanie działalności Związku Ukraińców w Polsce,
– 36 200 zł nowych ..... finansowanie działalności Związku Ukraińców Podlasia,
– 10 000 zł nowych ..... dla fundacji Św. Włodzimierza Chrzciciela Rusi Kijowskiej,
– 36 300 zł nowych ..... finansowanie działalnosci Zjednoczenia Łemków,
– 8 400 zł nowych ..... dla Społecznej Rady Muzeum Kultury Łemkowskiej w Zandrynowej.

razem – **471 100 zł nowych (4 711 000 000 zł starych)**

WYKAZ NIERUCHOMOSCI PRZEKAZANYCH GREKOKATOLIKOM W WOJEWÓDZTWIE PRZEMYSKIM

Decyzja wojewody przemyskiego
1. Nowe Sady, gmina Fredropol: dzialka (23 ary), cerkiwe i cmentarz (19 arów),
2. Leszno, gm. Medyka: cerkiew, dzwonica, plebania (1 hektar),
3. jarosław, ul. Sobieskiego: cerkiew, dzwonnica (17,5 ara)
4. Chotyniec, gm. radymno: cerkiew, dzwonnoca (64ary),

Decyzja Komisji Majątkowej w Warszawie
1. Przemyśl, ul. Kasprowicza 5 (Państwowy Dom Dziecka) dla Sióstr Zakon Św. Bazylego Wielkiego
– Dom Prowincjalny w Gorlicach (budynek z kilkuarową działką),

2. Przemyśl, ul. Basztowa nr 13 (II LO) dla kurii grekokatolickiej (budynek i 1 hektar),
3. Przemysl, ul. PCK 4 (Archiwum Państwowe) dla oo. bazylianów (cerkiew i 6 działek),
4. Przemyśl, część Placu Niepodległosci, ul. Władycze, Franciszkańskiej, Śnigurskiego i Dąbrowskiego
– dla kurii greckokatolickiej (działka 15,8 ara),
5. Przemyśl, Rynek 12 dla kurii greckokatolickiej (kamienica trzypiętrowa),
6. Łuczyce, gm. Przemyśl: cerkiew, 2 cmentarze, działki 1,68 ha.

WYKAZ NIERUCHOMOŚCI, KTÓRYCH DOMAGAJĄ SIĘ GREKOKATOLICY

w Przemyślu:
1. ul. Mariacka (Wojewódzka Stacja Sanitarno-Epidemiologiczna),
2. ul. Czarnieckiego i Iwaszkiewicza (Ośrodek Szkolno-Wychowawczy dla dzieci Głuchych i Niedosłyszących),
3. ul. Św. Jana (Wojewódzka Biblioteka Publiczna – filia),
4. ul. 3 Maja (Rejonowy Urząd Telekomunikacyjny),
5. Ul. Smolki 10 (Szkoła Podstawowa ukraińska nr 17),
6. ul. Siemiradzkiego (własność miejska),
(powyższe wnioski są bezzasadne, ponieważ nieruchomości te były przed wojną własnością Bractwa Św. Mikołaja, stowarzyszenia osób świeckich, a nie kurii „ruskiej")
7. plac Czackiego 3 (Muzeum Narodowe Ziemi Przemyskiej),
(wniosek bezzasadny, kuria „ruska" nie była właścicielem budynku)
8. ul. Klasztorna (zakład samochodowy K. Sałaty),
9. plac Dominikański 3 (Urząd Wojewódzki),
10. Rynek 2 (administracja samorządowa),
11. ul. Puszkina (kamienica),
12. ul. Basztowa (Internat dla dzieci specjalnej troski),
13. ul. Waygarta (Kuratorium Oświaty i Wychowania),
14. ul. Waygarta (siedziba PTTK),
15. ul Śniadeckich (kamienica),
16. ul. Słowackiego 36 (na działce wybudowano blok mieszkalny Spółdzielni Ciepłownik),
17. 40 parcel (m.in. przy ul Słowackiego od bramy miejskiej do ul. Herburtów).
(Na powyższe wnioski kuria „ruska" nie ma dowodów własności. Przyjąć więc trzeba, iż wnioski te mają spełnić rolę przede wszystkim propagandową i nacisku.)

w województwie:
1. Jarosław, ul. Poniatowskiego 6 (kamienica – siedziba instytucji państwowej),
2. Dubiecko, cerkiew i 8 hektarów,
3. Babice, gm. Krzywcza, 16,8 ha,
4. Cisowa, gm. Krasiczyn, 26,5 ha,
5. Krzywcza, cerkiew i 11 arów,
6. Lipa, gm. Bircza, 24,45 ha,
7. Maćkowice, gm. Żurawica, cerkiew i 21 ha,
8. Piątkowa, gm. Dubiecko, 50 arów,
9. Ujkowice, gm. Przemyśl, cerkiew i 18 ha.
10. Wyszatyce, gm. Żurawica, cerkiew i 84,5 ha,
11. Leszczawa Górna, gm. Bircza, 8,6 ha,
12. Leszczawka, gm. Bircza, 7,37 ha,
13. Walawa, gm Orły, 228 ha,
14. Nowe Sady, gm. Fredropol, budynek, garaże, 1 ha,
15. Młodowice, gm. Fredropol, budynek drewniany, cmentarz, 13 ha,
16. Leszno, gm. Medyka, 57 ha,
17. Malawa i Lipa, gm Bircza, cerkiew i 20 ha
(z wyjątkiem Nowych Sadów i Młodowic wszystkie inne roszczenia są bezzasadne).

(Na podstawie oficjalnych dokumentów Ministerstwa Kultury i Sztuki – Biura ds. Kultury Mniejszości Narodowych, Urzędu Wojewódzkiego w Przemyślu, Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków, Urzędu Miejskiego w Przemyślu).

Zamiast kroniki

19 marca 1995 roku

Michael Gunton, dziennikarz, były doradca prasowy premier Margaret Teacher

O obyczajach w życiu publicznym

... Powodem zainteresowania M. Guntona dziennikarstwem w Europie Wschodniej jest przekonanie, że żaden kraj nie może mieć demokracji, jeżeli nie ma wolnej i profesjonalnej prasy. Sytuacja jej w naszym kraju wielce go niepokoi. Prasa w Anglii łączy z zasady polityków i ludzi, i jej zadaniem jest wyjaśniać to, co dzieje się w parlamencie czy w rządach lokalnych (samorządach) oraz prezentowanie tego, czego oczekują ludzie. Jest to jedna z najważniejszych zasad obyczajowości w demokratycznym państwie. Media oczywiście muszą być niezależne, bo politycy nie lubią, gdy zadaje się im trudne pytania lub zarzuca, że coś źle robią, dlatego często starają się ustanowić prawo, które by kontrolowało prasę. Ale przekonanie o potrzebie wolności prasy jako podstawie demokracji w Anglii jest tak mocno wyrobione, że mało prawdopodobne, by kiedykolwiek politykom to się udało.

Główną zasadą dla prasy jest unikanie pomówień i bezpodstawnego oskarżania ludzi publicznych. Większość gazet zatrudnia prawników, którzy czytają wszystkie teksty przygotowywane do druku, upewniając się, czy nie łamią prawa. Dziennikarz, gdy nazywa kogoś kłamcą, musi to udowodnić. Inaczej zapłaci ogromne pieniądze odszkodowania. Jedynym miejscem, gdzie członka parlamentu można nazwać kłamcą jest Izba Gmin, w której można powiedzieć co się chce o kimkolwiek. Ten zwyczaj w Anglii nazywany jest parlamentarnym przywilejem. I zdarza się, że gdy członek parlamentu oskarża drugiego o jakieś nadużycia, ten drugi mówi: „wyjdź przed parlament i powtórz to" ...

(Przemyski Informator Kulturalny, Nr 1, 1995)

4 czerwca 1995 roku

Fred Gijbels, rządowy konsultant programu MATRA (Holandia)

Media: język, styl, smak

... Dla dziennikarza etyka powinna być częścią profesjonalizmu. Często zdarza się, że dziennikarze z góry traktują przedstawicieli władz (także lokalnych) jako aferzystów, ludzi bez skrupułów żądnych władzy, szukają sensacji. Często uważają siebie za najlepszych profesjonalistów, którym już żadne nauki nie są potrzebne (...)

Młodzi dziennikarze zaraz po szkole nie mają na tyle praktyki, żeby właściwie pisać. A jeżeli nie uczyli się zawodu dziennikarza to jeszcze większy problem. Są wówczas bardzo zarozumiali w tym, co robią, ponieważ są bardzo niepewni. Praca

ta jest dla nich całkiem nowa, nie znają podziału ról, nie znają zasad rzemiosła. To będzie trwało czasem kilka lat zanim ci młodzi ludzie staną się prawdziwymi dziennikarzami (...)

Jest także problem „drugiej strony", problem polityków i wpływowych organizacji. Polega on m.in. na pewnym lęku przed utratą władzy i wpływów. Tych „dwóch stron" jest coraz więcej, im bardziej społeczeństwo jest pluralistyczne (...)

5 lipca 1995 roku

Jarosław Piekałkiewicz

6 lat po okrągłym stole

... Jak to się stało, że z takiego wielkiego kapitału Solidarności niewiele zostało? (...) Posłużę się obrazem z procesu Kiszczaka. Byłem na sprawie w tym dniu, kiedy Michnik był świadkiem. Tenże Michnik, po wejściu na salę sądową podszedł do Kiszczaka i uścisnął mu rękę. Uścisnął rękę człowiekowi, który prawie całą swoją karierę wojskową spędził w Informacji Wojskowej, wobec której w czasach stalinowskich ubecy to byli aniołowie. Ludzie z Informacji Wojskowej zabijali dla przyjemności. To była najgorsza *swołocz*, jaka istniała w Polsce. I Michnik, jeden z filarów opozycji ściskał rękę Kiszczakowi... Michnik zeznając mówił, że podczas narad owego *okrągłego stołu* wyidealizował sobie, że Kiszczak to nie wróg, tylko partner polityczny! Z którym można rozmawiać, ściskać rękę, dzisiaj on wygrywa, jutro Michnik... Tym gestem nastąpiło przekreślenie tego, co stało się w ciągu 50 lat w Polsce, w czasach stalinowskich i potem.

Dlaczego tak się stało? **Po pierwsze**, na postawy podobne Michnikowi miał wpływ Kościół głosząc chrześcijańskie przebaczanie. A wielu przywódców opozycji było głęboko wierzącymi. **Po drugie**, w przywództwie Solidarności pewna liczba to byli synowie i córki komunistów, ubeków itp., nawet cofając się do lat sześćdziesiątych. Dla nich występowanie w opozycji do rządu to był bunt przeciwko rodzicom, a trudno jest oskarżać własnego ojca. **Trzecim powodem** było to, że pewna grupa przywódców opozycji była infiltrowana przez UB i SB, a nawet niektórzy byli agentami UB od początku. Ale to było do przewidzenia, to nie zaskakuje.

Czemu te przyczyny przeszkodziły? **W pierwszym rzędzie** temu, co alianci zrobili po drugiej wojnie: zabronili tworzenia partii nazistowskiej w Niemczech czy faszystowskiej we Włoszech. Ponadto zabronili ludziom, którzy stanowili trzon tych partii prawa udziału w wyborach, a specjalnie zakazali pełnienia funkcji w administracji i w parlamencie na okres 5 lat. W Polsce nie zrobiono czystki, to znaczy tzw. dekomunizacji. W 1991 roku zaproponował mi ówczesny wiceminister MSZ, bym przyjechał do kraju i przeprowadził czystkę w ministerstwie. Przyjechaliśmy, bo było nas kilku, zaproponowaliśmy co trzeba zrobić, ale zanim zaczął, to sam wyleciał z MSZ, a ja pojechałem z powrotem do Stanów. Taką czystkę trzeba było zrobić w administracji, a specjalnie w policji, prokuraturze, sądownictwie, urzędach podatkowych, straży granicznej. W wojsku tylko generalicję trzeba było prześwietlić, bo reszta armii nie poparłaby Jaruzelskiego nawet w 1989 roku. **Po drugie**, Polska nie ma Konstytucji! Nie zmieniono prawa! Taki Kiszczak prawdopodobnie zostanie uznany niewinnym, ponieważ sądzi się go według prawa komunistycznego. **Po trzecie**, nie wykazano odpowiedzialności komunistów za ruinę gospodarczą kraju. Za to, że wybudowali gospodarkę, która nie ma nic wspólnego ze skarbami naturalnymi Polski. Ta sprawa jest chyba najistotniejszą.

Bez tych trzech pociągnięć, bez postawienia winnych przynajmniej przed opinią publiczną, bez wytłumaczenia narodowi, że jest dziś biedny, że odbudowa zajmie dużo czasu, że reformy będą kosztować – bez tego nie można było sądzić, że się uda. I z miejsca zaczęto obwiniać za nędzę kraju rządy Mazowieckiego, Bieleckiego i innych, ale nie komunistów...

13 sierpnia 1995 roku

Spotkanie autorskie z Józefem Kurylakiem

(promocja nowego tomiku wierszy *Góra duchów*)

... Łatwiej jest pisać o śmierci niż o radości. Weźmy np. ponure dramaty nasze dziewiętnastowieczne i weźmy Moliere'a, który pisał bez żadnej idei socjologicznej, pisał dla samego śmiechu. Trzeba mieć wiele talentu, żeby się nie ośmieszyć, a rozśmieszyć nie śmiejąc się. Pięknie to przedstawił Gogol w *Rewizorze*... Ja bardzo rzadko potrafię napisać wiersz radosny. To także sprawa wewnętrznej czerni trudnej do obalenia w człowieku. Jest to pojęcie jungowskie wzięte z dawnej magii: z chwilą, gdy piszący zbliża się do ekstazy radosnej, ta czerń przyjmuje postać niepokoju i lęku przed tą radością. Wówczas nie ośmiela się napisać, wydaje się mu, że nie zasłużył na całkowite rozjaśnienie, bo może nie jest to prawda, może to chwila subiektywna?

Wewnętrzna czerń jest pesymizmem pozornym. Codziennie o niej nie myślimy. Uważam, że wszyscy ją mają. Wszyscy np. tworzą historię, a ta nie zdąża ku czemuś radosnemu. Zdąża raczej ku pewnej niejasności, która nie jest już radością, bo u rozumnych istot wytwarza pewien niepokój. I potrzebę poznania, która łączy się z analizowaniem, która nie jest aktem radości, tylko chłodnym drążeniem różnych warst tego świata. Jak w archeologii (...)

W rzeczywistości jestem jasny w środku. Nie poddałem się. Oczywiście szala między czernią a bielą jakby przechyla się ku dołowi, w stronę czerni, ale nie znaczy to, że ja takim jestem (...)

Mój rytm i moja tradycja. Wyrosłem ze starych poetów. Kiedyś byłem zafascynowany rytmem Mickiewicza, wszystkich Słowackich: *Beniowski, Król duchów*... Może to jest nawet moja skaza, że nie mogę się od rytmu oderwać. Oczywiście wydaje mi się, że wypracowałem swój niezależny własny rytm. Rytm to osobowość. Leśmian powiedział jeszcze wiecej: *rytm to światopogląd*. I to jest uzasadnione. Jeżeli ktoś w ważnych sprawach, np. uczuciowych mówi heksametrem bez akcentów, oryginalnym, to jest to wyrażenie stosunku refleksyjnego. Jeżeli ktoś mówi gwałtownym ośmiosylabowcem, to wyraża namiętność, lęk przed utratą czasu (...)

Ja czuję, że przekładam obrazy na muzykę. Trzy cechy chcę zawrzeć w wierszu idealnym: wizjonerstwo, czyli coś, co sprawia, że obraz nie jest już definiowalny, ale jest niepojmowalny, przeznaczony do kontemplacji; intelektualizm, który jest tą kartezjańską, logiczną właściwością wiersza; uczuciowość, która jest cechą osobistą piszącego. Jeżeli jest on do tego zdolny, to może swą uczuciowością przeniknąć wszystkie warstwy wiersza, które w ten sposób połączone tworzą coś, co jest muzyką. Ale wtedy są one poza dobrem i złem. Poezja wówczas staje się neutralną, niezależną ode mnie...

8 grudnia 1995 roku

Dwugłos na temat: wojny polsko-bolszewickie w historii i literaturze.

Spotkanie z Bohdanem Królikowskim, pisarzem i dr. Józefem Franciszkiem Fertem (KUL).

„... Czasem zdarzają się, niestety smutne, profetyczne wypowiedzi. Prawie nieznany jest fakt, iż Jan Kazimierz, krytykowany, rzekomo słaby król, w roku 1668 wy-

prowadziwszy państwo ze wszystkich wojen, które przyszło nam toczyć, powiedział na Sejmie abdykacyjnym prorocze słowa, że cesarz (czyli Austria) sięgnie po Kraków, Prusy sięgną Warszawy, a Moskwa, powołując się na wspólność wiary sięgnie po wszystkie tereny wschodnie. I 127 lat potem tak się stało (...)

... W roku 1920 kilkaset tysięcy młodych Polaków z różnych warstw narodu ocaliło niepodległość młodego państwa biorąc do ręki bagnety i szable. Ich trud zaowocował, ich krew była posiewem wolności, którą w tej chwili mieliśmy w ręku. Którą jeszcze, może do jutra, mamy w ręku. Jeżeli tę wolność stracimy, będzie to jeszcze jeden dowód głupoty politycznej tego, co może już niedługo nie będzie się nazywało polskim narodem. Kiedyś miałem okazję uczestniczyć w spotkaniu ze znanym politykiem, choć postacią dosyć kontrowersyjną, z Bolesławem Piaseckim. To był koniec lat 1950. I on wówczas powiedział zaskakujące zdanie: *być może niedługo już ten kraj będzie zamieszkały przez ludzi mówiących po polsku.* Nie przez Polaków. W tej chwili jest jeszcze gorzej dlatego, że w Polsce ludzi mówiących po polsku (nie po polskiemu!) jest coraz mniej...

(Bohdan Królikowski)

„... Nie mieliśmy w XIX wieku sukcesów militarnych, ale za to Polacy odnieśli prawdziwe walne zwycięstwo na polu kultury, a szczególnie literatury. Te sukcesy w sferze ducha tak wielkie, w pewnym sensie stały się troszkę chochołem narodowym naszej kultury, co Wyspiański w swoim *Weselu* genialnie pokazał. Myślę o wielkiej literaturze romantycznej, która naszą świadomość pchnęła w stronę świata ducha, świata wyobraźni, fantazji, ewokacji i karmiąc nas opłatkami sztuki kazała zapomnieć o brakującej dobrej strawie, chlebie codziennym i czystej wodzie, która nazywa się niepodległość. Romantyzm był wielką eksplozją sił duchowych narodu poprzez swoich genialnych twórców. Ale równocześnie stał się zaczarowaniem nas w pewnym kręgu rzeczy, które dzieją się w sferze intelektu i wyobraźni, nie w codzienności i praktyce politycznej. Wiadomo, świat sztuki, świat literatury, nigdzie tak jak w Polsce nie wyeksploatowany i nie wyeksponowany, jest czymś niezależnym i autonomicznym od polityki i nie należy go z nią mieszać. Jednakże my, nie mając państwa prawdziwego uciekliśmy w ojczyznę słowa, w ojczyznę poezji, która była na wyciągnięcie ręki. Można było (często za małą opłatą stójkowego) czytać książki w domu, mieć je, żyć z nimi, przeżywać... Nocne rodaków rozmowy to z tego czasu (...)

Ale jednocześnie ta myśl intelektualna autentycznie zmagała się z problemem: jak mamy w owej konkretnej sytuacji społecznej, politycznej, historycznej żyć? Nie: jak czytać wiersze, jak rozumieć muzykę, czym się upajać, ale jak naprawdę wybić się na niepodległość, bo ta była (i jest) celem i żaden prawdziwy Polak nigdy o tym nie zapomniał, że modlitwa *chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj* to znaczy daj nam niepodległą Polskę. ***O wielką wojnę modlimy się Panie*** powiedział Mickiewicz...

(Józef Franciszek Fert)